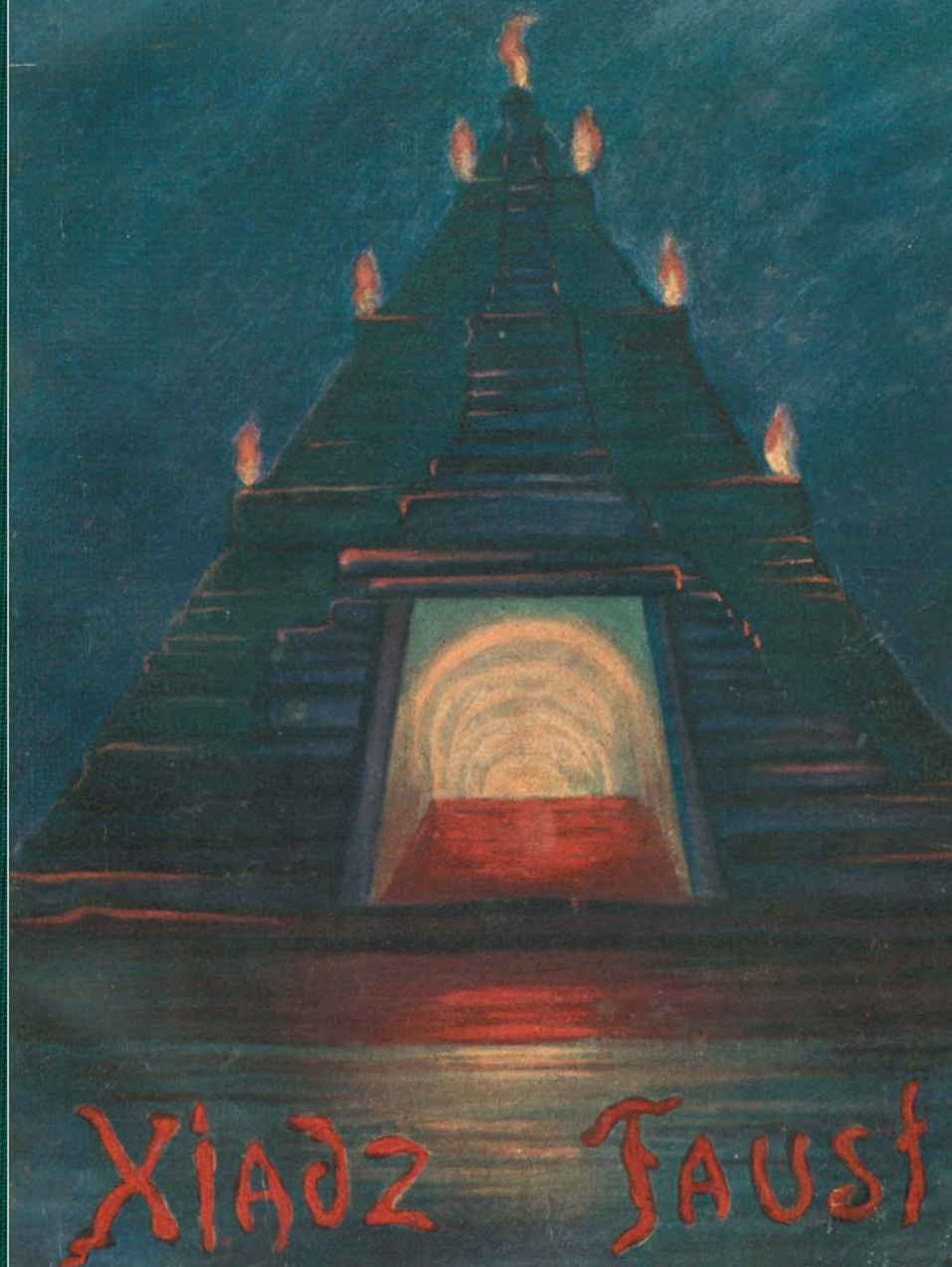


Tadeusz Miciński



universitas

Xiadz Faust

T a d e u s z M i c i ń s k i

XIADZ JAUST

opracowanie tekstu,
przypisy i posłowie
Wojciech Gutowski

KRAKÓW

© Copyright by Wojciech Gutowski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2008

ISBN 97883-242-1000-8

TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Wykorzystano okładkę pierwodruku autorstwa Konstantego
Zacharkiewicza

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Ilustracja ks. Fausta i Imogeny

Jan Rembowski, Ilustracja zburzenia Mesyny

www.universitas.com.pl

...– Życie na każdego z nas woła : – Bądź mężem i nie idź za mną,
jeno za sobą! Jeno za sobą!

Bądźmy wolni i nieustraszeni, w niewinnej samorodności z siebie
samy rośnijmy i kwitnijmy! –

I oto gdy spoglądam na takiego człowieka, dzwonią mi w uchu dziś
jeszcze, jak niegdyś, te same zdania: „że namiętność lepsza jest
od stoicyzmu i obłudy; że być uczciwym nawet w złym, to lepiej
niż zatracić samego siebie w obyczajności, przekazanej zwyczajem;
że wolny człowiek może być równie złym jak dobrym; że jednak
niewolny człowiek jest hańbą natury i w żadnej nie uczestniczy
niebiańskiej czy ziemskiej pociesze; wreszcie, że każdy, kto chce
być wolnym, musi stać się nim przez samego siebie, i że nikomu
wolność, jak dar cudowny, nie spadnie w podolek”.

(Z *Wiedzy radosnej*, 137)



I. SZLAKIEM PRADZIADÓW

Zmieniał Piotr kilka więzień prowincjonalnych jedno za drugim, gdzie konfrontowano go z różnymi politycznymi.

I teraz, w eskorcie żandarmów, miał dojechać do stacji kolejowej, by pociągiem ruszyć do więzienia dyscyplinarnego na pograniczu Rosji i dawnej R-tej. Wiedział, że będzie to już dla niego kresem, gdyż tam czyha jego zażarty wróg, też z obywatelskiej rodziny.

Ten wyda nareszcie jego prawdziwe nazwisko, jak mu to przyrzekł.

Jadąc w mroku, przeżywał Piotr bolesne, głęboko wryte wspomnienia.

Przystojnym, zuchwale cynicznym paniczem był ów wróg Piotra – w sali śledczej rozglądał się po więźniach, gestem ręki, ubranej w pierścienie, wydawał szczegóły, jak niejaki Skała zabijał kolbą od mauzera jednego z robotników, który zaczął wsypywać; jak potem z nadzwyczajną zimną krwią poszedł grać w szachy przed oczyma licznej publiczności w kawiarni...

Mówiąc to, Kondor zmrużonymi oczyma patrzył, już tylko jedno słowo – zerwie maskę i pod przejrzystym mianem Skały wyjawia Piotra.

Niedawno Kondor należał do partii i był jednym z główniejszych, ale związał się z kochanką i uznał wtedy, że partia płaci za mało.

Bo jakże utrzymać się z trzydziestu pięciu rubli, kiedy do tego jest bachór?

Kondor nie mógł przejść spokojnie obok swego dwuletniego dziecka, aby go nie kopnął nogą.

Nieustraszony i bystry, choć zawsze z nutą znikczemnienia, należał do wypraw na pociągi, gdzie wieziono wielkie wory, napelnione złotem lub sturubiówkami.

Kiedy bojówka zaczęła demoralizować się, pierwszy utworzył bandę rozbójniczą i zaczął na własną rękę napadać dwory i karczmy, oblewać naftą Żydówki i podpalać, albo skrępowawszy je wprzód na łożu, zalewał im twarz witriolem; wtedy zaczęli go ścigać rewolucjoniści jeszcze zaciekłej niż wojsko.

Obległa go raz sotnia kozaków w starej kuźni i po śmiałej wymianie wszystkich strzałów w dwóch brauningach, które miał przy sobie, zrozumiał, że jeśli chce dalej żyć, pozostaje mu tylko...

Wyszedł, białą chustką powiewając, i rzekł do rotmistrza kilka słów, które uchroniły go od natychmiastowego zasiekania nahajami; rozwściekieni byli

oporem jedyne go człowieka w kuźni, gdzie kozacy spodziewali się z gęstości i celności strzałów całej partii.

W więzieniu zaczął wyjawiać, a że wiedział wszystko do najdrobniejszych szczegółów, że nigdy nie zmylił się ani nigdy nie skłamał, policja uzyskała naraz wejście i orientację we wszystkich labiryntach...

Kilkanaście szubienic zadrgało od konwulsjami targanych ciał.

Kondor odsiadywał swe domowe więzienie, strzeżony raczej dla bezpieczeństwa przed rewolucjonistami niż przez karę.

Tam w sali śledczej mierzył Piotra od czasu do czasu błyskami swych zuchowałych spojrzeń – mimo iż wzrok tamtego groźną zadumą okryty patrzył w niego prosto, jakby wzrok Danta, mierzący niechlujną lodową czeluść złośliwego Demona.

Wreszcie adwokat, poruszony tym, że słowa Kondora kosiły każdym swym zamachem życie mnóstwa ludzi i rodzin – zwrócił się do niego z wyrzutem:

– A czyliż pan nie byłeś między nimi? i pan miałeś niegdyś wysokie porwy do ujrzenia ludzkości wolną, równą, szczęśliwą! pan teraz gubisz tych ludzi, których podżegałeś – między którymi uznałeś się godnym za wodza – których opuściłeś, aby grabić i zbójcko hulać po dworach! Kiedyż zamilknieś?

– Panie prysiażnyj powieriennyj! moje sumienie nie należy do pana! jedno tylko mnie zmusi do milczenia – odrzekł szyderczo Kondor – a tym jest kula w łeb! Dopóki ta mi nie przejdzie mózgu, będę korzystał z moich praw do życia! –

I zaczął dalej ciągnąć historię całego ruchu w guberni.

Ukończone śledztwo. – –

Do celi samotnie siedzącego Piotra wszedł Kondor, bystro badając, jaki ruch uczyni więzień.

Lecz ten, podniósłszy wzgardliwie głowę, znowu opuścił ją ku lepiemu z chleba więziennemu posążkowi.

– *Eh bien, cheri* – zaśmiał się Kondor – marzysz o kobiecie, pora by wyjść, co?

– Proszę wyjść.

– Wybacz, że usiądę. A tak zdawałoby się niedawno mówił ci jeszcze nauczyciel Anfonow: Piotr takoj to, za dikoje nachalstwo dwadcat' czetyrie cza-sa w karcerie! pamiętasz, jak ja ściągałem od ciebie wypracowania, ale za to ty uderzyłeś mnie w twarz za jakiś mój niewinny koncept o rozgniatanych poziomkach na twarzy twej siostry.

– Wyjdź pan z mej celi.

– W kółku naszym samokształcenia byłeś pierwszy. Zawsze starałeś się mnie upokorzyć – na przykład w tej dyspacie na tle Spencera o ewolucji i dysolucji! Powiem prawdę, nie starałeś się, ale przychodziło ci to mimo woli...

Czytałeś potajemnie Ramajanę i miałeś się za bohatera z rasy słonecznej dawnych Ariów.

W trzech słowach kończę – rzekł wobec powstającego z krzesła Piotra. – Moja kara już mija, prędko będę wolny. Udziel mi, bracie, polecającego listu do Twojej siostry. Chciałbym zmienić życie. Znasz mnie, że nie mam w sobie nic z gruboskórności Pochronia. Namówię ją na wyjazd za granicę, zajmujemy się sztuką. Zawsze frapowały mnie łacińska wymowa, francuskie malarstwo i okultyzm. Twoja siostra to jakby Diana Vaughan i za pomocą jej objawień zwiedzimy niejednego papieża Leona XIII!

– Miotnął się Piotr, ale jego wyniosła postać, blond kędziory i cudna rycerska twarz mogły się stać tylko symbolem groźby, gdyż kajdany, rzemieniami ściągnięte, przykuwały mu ręce do pasa.

Wzrok gorejący wpił w agatowe, jasne szybki Kondora.

– Idź zdradzić – dwóch na świecie nas żyć nie może.

– Według życzenia pańskiego. Czy ono jednak dotrwa czasu, gdy, rozbity fizycznie i moralnie, znajdziesz się pan w więzieniu dyscyplinarnym? to dopiero zobaczymy. W każdym razie ja tam już będę czekał – i postawię wtedy ultimatum.

Ale żebyś nie był zbity tej nocy przy indagacji, objaw mi dobrowolnie hasło, przy pomocy którego porozumiewałeś się z dostawcami broni nad granicą!

Pomyśl, Piotrze, masz dopiero lat dwadzieścia i dwa. Jeśli będę milczał, dostaniesz wszystkiego piętnaście lat katorgi. Cóż to wielkiego? wyjdiesz, mając lat trzydzieści siedem. Pełnia życia. Zresztą, towarzysze ułatwią albo amnestia... Ślubuję ci, że od twojej siostry wydebiwszy pieniądze, dostarczę i tobie. Ona już tylko jedna wie, gdzie jest zakopany półmilionik. Wybrała Wenecję. Maluje teraz cmentarz na wyspie, gdzie czarne gondole, marząc na zielonej wodzie w zachodzącym słońcu, wsuwają się między gąszczu uroczystych mrocznych cyprysów... Widzisz, wiem dokładnie o niej... – Razem popchniemy naprzód narodową kulturę... założymy teatr. A pieniądze wszystko potrafią – tocząca się potęga, według Tolstoja, a jak mówi Szekspir w „Kupcu weneckim” – to skupiona krew! – –

Piotr rzucił się ku drzwiom i ramionami gwałtownie walił o żelazne drzwi.

Na ten rumor wpadli dozorczy.

– Proszę poświecić temu panu na schodach – rzekł dyszącym głosem, wskazując końcem nogi okutej w łańcuch w stronę Kondora. – I jakim prawem tu wchodzi ktoś inny prócz naczalstwa?

– Wszystko się wytłumaczy, wszystko!

La vida es sueño. Jest równie księżycowa noc jak wtedy, gdyś przy monopolu zabijał straż.

Petre – Petre... tu es Petra... sto ad portam tuam et clamo: eritis sicut Lucifer! ut non dicas: eheu! ab ligno szubienicy!

Pecuniae mogą wiele... pomyśl, że główny winowajca siedzi obecnie w Paryżu, bo piękne siostry jego rzuciły sumami. Ma się rozumieć, bogata rodzina. Twoja matka jest wszakże nędzarką? Widziałeś tych olbrzymów – chłopów i robotników, którzy przechodzili przez kancelarię – tym, gdyby ktoś tylko dostarczył pilnika, oni sami wydarliby kraty i zeszli po sznurach z bielizny i bałachona na wolność... Nie mają bogatych lub pięknych sióstr...

Partia?... wszędzie biedny zginąć musi.

Partia jest jak owa matka obca na sądzie Salomona: woli, żeby dziecko było rozdarte, niż żeby miało się ostać i służyć stronie przeciwnej...

Partia słabo ratuje... i to zniechęca.

Te olbrzymy chłopcy jutro o świcie wszyscy będą wisieć.

Prawda, panie starszy dozorca?

Więc my ujrzymy się aż w dyscyplinarnym. Ha ha! życie nie jest igraszką fał Böcklina... W mordę kują śmierzdzącymi łapami... wtedy zrozumiesz, że człowiek ze swoją pozorną głębią – jest to kupa narządów, które chcą żreć i wyją, gdy je kopać w brzuch między *Mons Veneris* i splotem słonecznym. *Ecoutez encore: ainsi que je suis Kondor – votre soeur sera ma Vierge au beau sein que je suis!* jak ta w Saragossie Madonna!... Nie pójdę za przykładem Oryginesa *qui se castravit propter regnum coelorum*. Cóż dopiero miałbym kastrować się *propter regnum socialistorum*! Ha ha! powiem ci jeszcze według piosenki gerylasów hiszpańskich:

Si me cogen – me horqueran,

Pero no me cogeran!

Jeśli mnie złapią – mnie powieszą –

Ale mnie nie złapią!...

Zatrzasnęły się żelazne dzwierze.

– Więźniowi – wyrzekł głośno, ale już za drzwiami do nadzorców – proszę dostarczyć atramentu, pióra i listowego papieru. Ma złożyć list na me ręce.

– Won – rzucił mu zza drzwi Piotr.

*

*

*

Stało się w następstwie, jak przewidział Kondor. Po bezowocnej macani-nie śledczej i wędrowaniu z więzienia do więzienia – wreszcie za tępy upór i nieprzyznawanie się zaliczony został Piotr na czas nieograniczony między niepoprawnych w więzieniu dyscyplinarnym miasta X.

Jechał tam Piotr, wiedząc, iż to są już jego ostatnie godziny.

Tam spotka mężnie z góry wiadome losy w postaci uśmiechniętych zeznań Kondora. Jechał szlakiem pradziadów, którzy w kibitkach lub etapem pieszym wyruszali tysiące wiorst od swego kraju aż po zorze borealne wśród martwych tajg Kołomy i Jeniseju... Zaczawszy od biskupa Sołtyka, który był rażony obłędem, od generała Kopcia, Rufina Piotrowskiego i księdza Sierocińskiego, aż do paruset tysięcy powstańców i również paruset tysięcy późniejszego ludu...

Sybir, kiedy już przestanie być krajem dla różnorakiego motłochu, szukającego „nażywy” – stanie się zarówno dla Rosji jak dla Polski Hakeldamą... rolą krwi...



II. MALEFICIUM BENEFICII

Wjeżdżali do wsi Zakliszczyków, gdzie rzeka Prypeć rozlewa siedmiu korytami; siedem mostów wysokich wznosi się tam nowo zbudowanych.

Z powodu, że nie dosypane tereny osunęły się, mosty sterczą na łokieć od ziemi, w tych nasypach zaś tworzą się wilcze doły. Co gorsza, belki na moście, zakupione w dostawie przez podriadczyków, zgniły haniebnie, świecą dziurami aż w głąb ku wodzie. Biada temu, kto jedzie nawet dniem po chwiejących się dylach: konie chrapią i tłoczą się na siebie, cofając wzrok swój od dziko szumiącej rzeki, kopytami zapadają między osuwające się belki, których jeden koniec, gdy znieńacka podważy się – koń w śmiertelnym popłochu targnie uprzężą, zrywając, gdy słabsza...

Są to mosty, myślał Piotr, na których inżynierowie „Argonauci” – tak wielbieni i słusznie, jako idea, przez zacne powieściopisarki – zarabiali na każdym po dziesięć tysięcy rubli.

Każdy z tych mostów jest ze swą specjalną sztuczką – ten łamie koła, ów płozy od sań, tamten okulawia konie, inny grozi zawaleniem się całkowitym.

Ale za to, kiedy ktoś przejedzie wszystkie mosty szczęśliwie – jaką radość poczuje we wnętrzu, jak mu się świat rozjaśni, jak chętnie wtedy ucałowałby inżyniera i wypił z nim *Haf an hafu* za świetnie udane podriady, na których zarobili Polacy wespół z Rosjanami i Żydami! Wielka machina państwowa wszystko zniesie – i kto by tam zaglądał, na jakim żywym bruku pędzą nasze gumy lub petersburskie kłusaki?!

Potem inżynier urządzi sobie pałace, gustowne, jak stajnie dla słoniów; złowi żonę jak malowanie, nastawi posągów tandetnych a drogich, przedstawiających nagie primadonny... kilka obrazów, gdzie pstrykanina własna będzie sąsiadowała z przypadkowo według ceny wysokiej zakupionym arcydziełem Chelmońskiego lub Maneta – portretem żony, malowanej przez jednego z milusich faworytów naszych Zachęt – przy wyuzdanych kiczach malarzy Moulin Rouge’u.

Znaj naszych!...

– Pojeżdżaj! – krzyknął zniecierpliwiony ostrymi ukąsami śniegu stary żandarm do wlokącego się już od kwadransa woźnicy.

Konie zarwały, zamamlały w śnieżnej mazi kopytami.

Szaleje zadymka, iście mrok piekła, nie nocy wigilijnej!

Wspomnienie: – jarzy mnóstwem ogni i pozłot, wyniosły aż pod sufit, świerk – domownicy wraz z Piotrusiem małym nuć wruszającą kolędę:

– Bóg się rodzi, moc truchleje –

Pan niebiosów obnażony,

Ogień krzepnie, blask ciemnieje,

Ma granice – nieskończony! –

Na tej zwrotce urwało się dzieciństwo i nasz więzień uczuł się wyrzuconym w powietrze.

Ale co jest niemiłe filistrom, bywa wymarzoną gratką dla więźnia.

I kto wie, mości mostów inżynierze, czy nie Opatrzność wiodła twymi pozornie chciwymi obliczeniami – aby oto więzień uczuł się wolnym!...

Na pół zdrzemnięty, zdążył tylko machinalnie za coś uchwycić – i już całym ciałem zawisnął nad wezbraną, krami szumiącą rzeką. Trzymając dyl, myślami przecierając oczy, usłyszał już tylko odległy krzyk żandarmów:

– Łowi, łowi! –

Chłastał bicz dalekie konie, kopyta ich zabębniły raz jeszcze na ostatnim moście – i – pisz waćpan na Berdyczów!

Położenie Piotra stało się niezwykle interesujące: niby gracz w Monte Karlo, odgadujący cyfrę, która mu przyniesie złota wór czy kulę zapędzi do mózgu, podobnie rozmyślał Piotr: utonąć w rzece wolnym, puściwszy żerdź z ręki – czy być nadal Prometeuszem, Absolutem, Królem Stworzenia – aż do stryczka?

Lichym był żołnierz napoleoński, który nie nosił w tornistrze marszałkowskiej buławy...

Lichym jest człowiek, który, modląc się długo i zbożnie przed Losem – nie spróbuje jednak w pewnej wybranej chwili uczestować go pięścią na odlew!

Te czy inne argumenty lub może po prostu potężne „nieświadome” młodzieńczego organizmu rozstrzygnęło z jurnością nie filozoficzną, ale prastarą małpią...

„Naukowo” wejrzawszy w nasze pochodzenie, widzimy nie Melchizedecha z jego bezkrwawą ofiarą, ale małpy ogoniaste Świata Nowego lub małpy bezogoniaste Świata Starego – a między tą wielką rodziną – skaczącego z maczugą *Homosimiusa*...

Wola „nieświadomie małpiego” przy pomocy wszystkich mięśni krzyża, brzucha, ramion i łędźwi – czy według Piotra: wola nieświadomego już bohaterstwa z czasów Ramajany – przy pomocy żelaznego spokoju, stanowczości i rozwagi – kazała podciągnąć się, rzutem nogi prawej zarzucić stopę w otwór między warstwami dylów i –

Uczyniła ta moc to wszystko świetnie, ale niestety – Piotr uczył gorąco nie tylko od wzruszenia, gdyż stał na moście z wykręconą nogą, nie mogąc jej wydobyć. Śnieżne wysokie brzegi jaru – zdały mu się mózgiem, po którym ściekały krwawe błyskawice.

Kra w czarnych odmętach zmieszała się mu z kaszą w oczach.

„Byłoby tak lekko, lekko” – gdyby nie straszliwy ból. Wydobył wreszcie stopę. Czołgał się na rękach, skakał na jednej nodze, biegł tak dość długo w stronę przeciwną niż zniknęli żandarmi.

Ale nagle zrobiło się mu bardzo dziwno. W oczach migał mu podługowaty szerniały śnieg niby kopeć z rozkręconej lampy – migał, sypał się w wór bez dna.

W okolicach przepony poczuł duszność i słodkawe ciągoty.

Mdlał.

Zbudził się na śniegu przydrożnym wśród zasy; powstał, uczył znowu w piersiach gorzkość, brak tchu, szybko łykał śnieg, aby nie zemdlec raz drugi – mówił sobie coś w rodzaju:

– Na bębnie w czasie bitwy wyliczał Napoleon najbardziej miazdzący atak – Piotrze, nie bądź lotrem – ugryź rękę – aby nie zemdlec – żandarmi wrócą –

Ha – ha – zrozumiej, człowiek ze swymi pozornymi głębiami jest to kupa narządów – zaczął brzmieć dziwnie ckliwo głos cichutki Kogoś Czarnego.

Mroki nasunęły się, pełzną w przepaść z przerażającą szybkością – osunął się za nimi – wola została daleko – zjeżdżaj, kiedy wiezie najgłupszy mus!

Zemdlał tym razem na długo.

Lecz nie było to zemdlenie bezświadome.

Nie mając poczucia już swej osoby, doznawał, albo raczej coś w nim doznawało, świadomości szerokiej jak cała ziemia polska.

Bolesne przeżycia zaostrzały się w ton proroczy i wizyjny.

Widział na olbrzymim dworcu emigrantów, każdy walczy o dobro tylko swych tobołków i walizek, każdy dba tylko o ten łyk gorącej herbaty lub filiżankę bulionu dla dziecka, każdy patrzy wrogo na sąsiada, czy ten mu nie zapuści ręki do pałta.

Rządzi tą już bezdomną gromadą, tym tłumem wielkiego narodu emigrantów – gwizd lokomotywy, brzęk dzwonka – nie ma zaś już polskiej duszy zbiorowej, polskiego zbiorowego sumienia!...

I widział jakby za przezroczystą szybą szantaże w polityce i w literaturze, w krytyce i w zarządzie magistrackim – kto upomni się, kto osądzi – kto wyda straszny wyrok opinii? gdzie są Rejtany? Widział zupełne rozkręcenie śruby okrętu ziemnego: setki tysięcy, które giną od błota i mrozu lub od dżumy w Mandżurii, z tą obojętnością u jednych na śmierć, która cechuje buddystów, z tą żądzą u innych zarobienia dwudziestu pięciu tysięcy płacy lekarskiej na dżumie... przeciw której nie ma środka i nie robiono też nic...

Słucha Piotr – i nawet nie oponuje kapitaliście, który tyjąc na skupionej krwi swej renty, narzekał na rewolucję, że tak wszystko popsuła...

Dobrze pocziwcowi – żona mu podaje wieczerzę wykwinną z kwiatami, na mieście czeka niedawno zgodzona po dyrektorze teatru utrzymanka albo do wyboru bridż z przedstawicielami prasy... Można też zajechać powozem do klubu i omówić kwestię zakupna akcji od chwiejącej się cukrowni.– Taki pan Groszower nie spotka Piotra na raucie i nie obrazi się z powodu niewinnej ironii jego zapytania: któż rządzi nareszcie światem: Chrystus? więc czemu nie dzielimy się jeden z drugim przy wielkim wigilijnym stole świata? – lub jeśli nie Chrystus – a! to znów co innego – panie Groszower, przecież zrozumiej, żeś tylko pijawką i wszą społeczną, nie ewolucją naszej polskiej ziemi... że trzeba cię zmiażdżyć tarczami tak, jak rozmiażdżyli Salomę żołnierze rzymscy – niby z gniazda chuci wyrosłe nassane krwią zielsko!...

I obojętne to, czy imię tego zielska Groszower, czy ksiązę Gwido Trykalski...

– Sędziami wtedy będziem my! –

Kto my? czern złotrowana, nieistniejący cnotliwy lud Russa i Machajskiego?

I zmroczył się Piotr jak lampa przykręcona – zrozumiał, że nie ma wyjścia dla świata, który zaparł się wiodących wzwyż pierwiastków ducha – i nie uznaje już ludzkości za wielką rodzinę, której nie lża budować wieży Babel gwoli morderstw wyfraczonych maklerów politycznych na kongresach.

– Nie zabijaj! – mówił niegdyś Bóg ze Synaju, z góry Tabor, spod świętej Figi Indyjskiej – lub ustami Chelczyckiego, Skargi, Mickiewicza!...

– Nie poniżaj! – mówił najświećlańszy Intuicjonista, ukrzyżowany, jak nie-toperz, na bramach ciemnoty.

Kain zabił tylko brata...

Kainy współczesne zabijają dusze, a my uśmiechamy się z obojętnością chińskich marionetek.

Widział Piotr Kaina, który nie biega już z maczugą, ma dobrze leżący tużurek, robi interesa na wszystkim, wybiera z menu świata najlepsze potrawy, zna się na kobietach, proteguje sympatyczne mu talenty –

i – uznaje jakąś powolną, niezależną od woli ewolucję.

Oto nawet wchodzi do kościoła, gdyż jest tam uroczyste nabożeństwo za uznaną narodową chwałę – nieszkodliwą już, bo z ducha pogrobowego usunięto wszystkie pierwiastki, które od ludzi żądają bohaterstwa, mocy twórczej i zaparcia się.

Wzniosło się olbrzymie, jak synagoga diabła Hapuna, bagno dusz – zbluzganą jest nawet spowiedź, bo Ktoś Ciemny siedzi w konfesjonale... Nagle zaczęto kamienować Piotra, przeklinając Matkę, która go wychowała na Mickiewicza „Dziadach”.

Wali się w otchłań, skąd już nie ma wyjścia... Czarno ohydnie... rozdeptano mu jego gwiazdy – boleść najgorsza, najtępsza, że się jest robakiem ziemi.

Si me cogen – me horqueras...

Mroczno... okropna wilgoć... rozdeptali!...

Pełne oczy, pełne usta infernalnej wilgoci...

Zabiwszy, tłumy odwróciły się od niego.

I wtedy rozpoczęła się dzika karuzel wszystkich kabaretów – tłumy szły na Wawel, aby go zburzyć i nie zostawić kamienia na kamieniu.

Nagle ze zdumieniem ujrzał tych, którzy są *Wrotnymi Bram Wysokich* – i czuwając, czują...



III. DALSZY CIĄG MALEFICJÓW

Tymczasem zaskrzypiały sanie na śniegu, uczył Piotr, że mu ktoś głowę podnosi i znów zdało się, że jedzie w cichym przestworzu, słuchając miłego skrzypienia studni zwanej żurawiem – widział, niby na obrazie Malczewskiego, dziwną kobietę o szatach spłowiałych dawnych królewskich, która nabiera wody z cembrowiny i podaje mu.

On zaś, wygnaniec sybirski – jeszcze z konfederatów – idzie ku niej, w oczach ma łez pełno – –

coraz jaśniej, coraz większe świty –
aż luna bije mu w oczy.

Wtem widzi potworne węzowe kręgi na wodzie – – studnia życia okazuje się zatruta...

Rozwarł oczy:

widzi pochodnię, którą ktoś zapalił na dworze i która buchnęła w mrok nocy –

pocziwa twarz Litwina w czapie giedymინowej nachyla się nad nim – i bardzo realnie do niego mówi... żandarm.

Nie zdziwił się, bo jakież mogą być mistyczne światy polskie bez tych sinych mundurów?

poznaje starego Iljicza –

nie, czy to nie za wiele podobieństwa na wizję?

Piotr przymyka oczy, starając się zmienić bieg widzeń, lecz oto dyszkant mówiącego Litwina naraz zamroził mu krew w żyłach:

miłosierny samarytanin przywiódł go do karczmy na opatrzenie!!

Piotr zerwał się z siedzenia: sanie rządowe stały przed karczmą, zaś żandarmi, wdzierając się w gęstwinę za uchem, niby eksploratorzy Afryki w tajemno-dziewicze lasy Gabunu – zmienili fizjonomie sponurzałe na słoneczną radość tego oracza, który śpiewa u Kolcowa:

„Nu, taszczysia siwka!”

– Sława Bohu, nu, i stiepiennoj że wy czelowiek – pochlebiał stary Fiodor Iljicz – sami znajecie gosudarstwiennoję naczało! – mówiąc to, pomagał mu ze sań chłopskich wyjść.

Piotr zeszedł z twarzą tak złodowaciałą i straszną, że nareszcie nawet Litwin coś niecoś zrozumiał i, nie czekając podziękowań ani indagacji, machnął konie batem i zwał w ciemność.

Wkroczyli do karczmy. Piotr uczył chęć rozmiżdżenia głowy o węgiel pieca; ale stary wachmistrz ostrożnie, lecz silnie trzymał go pod rękę, gotów mu sekundować nawet w razie, gdyby czeluść ziemna rozwarła się i miała ich obu wciągnąć w swój nurt piekielny!...

Nie puściłby go nawet na rozkaz Aniołów, mówiących doń:

– Iljicz, stary raskolnik! nu i gdzie to widziane i gdzie to pisane, żeby apostoły Jezusa szablą dzwoniły? nu i poszedłby ty przed świtem na łąki zielone – na łąki duchowne – między starców, wierygi noszących...

Nie posłuchałby Iljicz!...

Trzeźwym aż do czertikow jest umysł Wielkorosjanina, nawet gdy zabrnę we wszelkie bizantyjskie nieprzełazy.

I oto usadził Piotra w pokoju gościnnym na burym perkalowym twardym meblu, mogącym służyć do łamania kości w czasach bardziej szczerych, lecz w dzisiejszej cywilizacji alegoryzującym ze strychu wyrzuconą dworską kanapę.

Zaczął Iljicz po polsku opowiadać, idąc za biegiem swych myśli:

– A to jechał ja z takim, jak wy, katorżnym przez Sibir.

Generała spotykamy, siedział na ganeczku, kurzył.

Kiwnął na więźnia, gadać z nim zaczął.

Gadali – gadali – a rozhovor zaciąga się.

– Wasze Priewoschoditelstwo, mówię, trzeba mi więźnia wieźć! –

Ach, ty Boże mój, jak zaczniesz generała rugać!... kłął mnie, ponieważ... Nie obyło się bez takich synów – i piekłem wiecznym gorejącym mi groził... i żółtogłazym abzywał, co zwierch wątpienia najgorsze.

– Słuszaju – powtarzam tylko, ręce po szwam...

– A wiesz ty, mówi, że może to jaki święty, którego ty – nieucz, ćma ziemi żółtogłazaja, wieziesz –

– Słuszaju – mówię. Tylko Wasze Prewoschoditelstwo pozwoli mi swej familii dowiedzieć się – zapisać ją potrzeba w książeczkę, aby donieść po naczałstwu.

Dał mi swą familię i plunął.

I zapisałem także plunięcie to.

Jak potem zrobili z generałem, nie moje dzieło!...

Przemarzył więzień czy tylko ze wzruszenia drżał, dość, że nie czekając jego życzeń, Iljicz huknął na Żyda:

– Samowar! ili ja tiebia... żółtogłazaja nieucz!...

Nie złym, a nawet poniekąd dobrym człowiekiem był Iljicz, bo zauważywszy, że więzień z trudem stawiał nogę, próbował mu zdjąć walonki. Piotr uczuł piekielny ból, lecz aby go nie zdradzać – rzekł, łagodnie odpychając Iljicza:

– Nic, Fiodor Iljicz, nic...

Wnet głowę położył na stole i wyć począł.

Wyl, jak potępiency wyją, kiedy po dziesięciu milionach lat rozwarły się bramy na wszystkie Dionizyjskie dale, z górami, gdzie szybują orły, z łąkami, gdzie pędzą – ogon rozwiawszy na wiatr, kare i tarantowate centaury –

Nagle z jaszczurczą chytrą bramy się zawarły. Została na wieki nuda formuły więziennej, tępość murów. Mrok – brama z ołowiu, na której można tępic bezsilne pazury furii...

Wyl – daremno siląc się poskromić ten nieznany w sobie głos, ten głos, którego tak lękał się u innych w ciszy nocnej więzienia, głos, który znamionował zwykle pierwszy atak oblędu...

Piotr gryzł rękę pod przegubem, aby się uspokoić. Iljicza, który chciał go powstrzymać, pchnął nagle tak, że mocny, wielki żandarm z pokładzi brodą aż dechu nie mógł chwycić pod przeciwną ścianą.

Wyl jeszcze, ale już chrapliwie, zębami gryźć zaczął stół i, nieokiełznany w rozpacz, uderzeniem pięści złamał blat stołu – zaśmiał się dziko i, zerwawszy ze siebie rzemień od spodni, zaczął skręcać pętlę.

Wściekła natura tabunowca zbudziła się w nim, nie wiadomo z jakiego pradziada dusza nieokiełznana.

Spoglądał błędnym wzrokiem Iljicz, nie śmiać przystąpić – taka olbrzymia fala magnetyzmu biła od więźnia!

Ale on, owijając sznur na szyi, przypadkowo wziął w rękę medalion z fotografią grobu dziada, Matka mu włożyła ten medalion szczerozłoty, za pieniądze oszczędzone nabyty...

I zrozumiał, że to jest złota łza Matki, która nie lękała się syna stracić: lękała się – żeby syn nie okazał się mniej mężnym od innych.

W jednej chwili opamiętał się.

Wolności? i cóż – nie ma jej...

– Kto zwycięży – wolnym będzie, a kto umarł – wolnym już!... z dawnej Piosenki Listopadowej przyśpiewywał – i dodał jeszcze słowami naigrawającymi Kondora:

– *Petre, Petre, tu es Petra!*...

– Dajcie samowar, Iljiczu! – zawołał już zupełnie opanowanym głosem – i nie mówmy więcej. –

Rozradował się Iljicz, wybiegł – lecz przed wybiegnięciem zbadał jeszcze, czy nie ma wyjścia innego z pokoju.

Źle obejrzał: rozchyliła się tapeta i z kąta, gdzie słyhać było mamrotanie Talmudu, nieśmiało wysunęła się słuszna, średniej tuszy, o dość zacnej twarzy Żydówka – z peruką na głowie, w czepcu rudym ze wstążkami fioletowymi.

Wejrzała z pokiwaniem głowy na Piotra, który siedział cicho i tylko na zgiętej dłoni wybębniał palcami drugiej ręki coś w rodzaju tańca karłów i duchów leśnych, które opadły Peer Gynta...

– Niech osoba szanowna nie boi sobie Newachowej! mnie tu w całe okolicy, Bogu dziękować, nie boi się nikto. Pan jest student – a? i jeszcze nieżeniasty? – Dzieciów też nie ma? musi mieć dzieciów, bo tylko za dzieciów tak się krzyczy...

Kto widział – zaczęła znowu – żeby takie drogie było ze siedym mostów... Dawniej, chwalić Boga, przejeżdżało się na promach i w bród... i źle nie było... niech Pan Bóg zachowa...

W karczmie zresztą można było wischnąć, można zjeść było wieczerzę.

Teraz też można!

Może wielmożny socjalista ma przy sobie taki psirząd do wibuchu? trzeba ostrożnie i, broń Boże, nie tu... mój mąż taki delikatny, wun stary je...

Może sznapsiku? ja mam takie jamajkę, co to... (tu zniżyła głos)

przez Ejdkun śwarcowana...

Może by dla kogo potrza jakie pismo doręczyć? tu jeden obywatel miał też kłopot o syna... sam umarł ze zgryzotów, żona jego też martwą zostanie!...

–

Usłyszawszy kroki wachmistrza, wsunęła się znowu za coś niewiadomego, co było tak brudne, że aż podobne do czarnej tapety, i tak odarte, że robiło wrażenie firanki.

Wachmistrz wniósł nieszumiały jeszcze samowar.

Dla pośpiechu zaczął go rozdymać butem, który widać wziął od młodsze-
go żandarma.

Kłęby popiołu, jak z wulkanu Krakatau, napęłniły powietrze, płuca i nos, lecz na szczęście nie dostały się do zamkniętych oczu Piotra.

Zresztą, nic już go nie obchodziło...

Nieraz miał zwyczaj i w więzieniu wyobrazać, że świata nie ma – tylko wielki Atman, muszla złota wśród Nirwany – a przy każdym rozchyleniu jej konchy – mijają manwantary.

Pył opadł na ziemię, herbata zaparzona. Iljicz pokiwał głową, spróbował miękko zaalarmować Piotra, że „czaj styniet” – lecz ten był nieczuły na wszystkie majaki, które sen zakłócają Atmanowi...

Iljicz zniknął. Trwało milczenie.

Wtem Piotr, ujrzawszy Newachową, wysuwającą się z kandelabrem, ale już przez drzwi –

nie wiadomo czemu, parsknął śmiechem.

Może to blask jedynej szabasówki w miedzianym lichtarzu, przedstawiającym węża z dwunastu głowami, czyhającymi na Ewę...

Może uroczysta mina Newachowej, która przeszła, dygocąc, przez izbę, gdzie już wydmuchiwali gorący czaj na spodeczkach żandarmi –

może wreszcie roześmiał się tak, jak na pogrzebie czasem śmieje się neurastenik, wstrzyknąwszy sobie za dużo morfiny – dość, że radość Piotra okazała się teraz niezupełnie na miejscu, bo Newachowa miała twarz wprost tragiczną.

Lichtarz poza samowarem stawiając, podała mu cukier i pęk obwarzanków; zza piersi wydobyła gabietową fotografię.

– Trzy syny moje – i nie żyją już! –

W głosie jej taki brzmiał tragizm, że zamiast Żydówki w karczmie była tu Niobe przed świątynią, płacząca syna, zrodzonego w uścisku z piorunowładnym... Newachowa zatrzęsła się. Wzrok jej skupił się w sobie.

– Wuni byli robotnicy na fabryce.

Jak przyszli te wolnościowe dni, to wzięli obuch rozstrzelić. Widziałam ich przez kraty do pożegnania: to mi oba pokazywali z płakaniem piersi czarne, krwawiaste i ręce bez paznociów. I wszystkie państwo w mieście wzięli mnie do swe pokoje – aj – co to za bogactwa – same szafy z liustrami – i mnie sadzali na pierwszych miejsc i słuchali, jak to oni nie mieli paznogczy na rękach... A takie bogate państwo – – A ten trzeci syn, wun był w Ameryce, pan musiał czytać? jego wsiscy wiedzieli.

Pisał romany i wystawiał na teater w Hicago.

Szukałam cukier i znalazłam go w komodzie.

Jak żywy! taki piękny! co? nie było takiego drugiego na cały świat!

Miał dom w Hicago i powóz miał. Tu jego żona – też jak maljowana – ona z ruskich Żydów!...

Wejrzał Piotr jednym okiem na dystygowaną lady obok niemiłego Semity. Nadpis na fotografii wzruszył go jednak:

– *To my dear mother* – Mojij Kochany Mami Synek, Mister Sam Neva-cho.–

– Co un napisał, tego wśluchać musieli: ma być wojna, biła wojna!

Wun napisał: w Kiszyniowie biją Żydków, to zaraz prezydent przyjechał do Europe na okręt.

Wun to miał także z żoną przyjechać i miał nam wymurować kamieniec na sześć piętrów – tu – właśnie że tu! w Zakliszczykach...

Może podać obwarzanki? –

Wobec milczenia oparła się o ścianę.

Samowar kipiał.

Piotr znalazł w tym dźwięku tyle rzewnej czułości, tyle pogodnego zręczenia, tyle zapachu starców, dawnych wojowników – że mimo woli zajrzał pod samowar i ujrzał złote serce, przeblyskujące w dole przez otworki miedzi.

Wtem okropny żal za Matką własną odrętwił go. Widzi: patrzy w niego, oddzielona kratami podwójnymi, więźnie i ich rodziny przekrzyczeć się usiłują – ona milczy – i on milczał...

I tyle wypowiedzieli sobie tym strasznym milczeniem!

Ona uśmiecha się, prawie piękna – podała mu kwiaty, starając się, aby żandarm ich nie dotknął... tylko syn z jej rąk...

– Bezgranicznie droga Mamusiu – mówił do wizji: – czuję, że nie odpędzasz Ty swych czarnych myśli od mojej, jakoby okropnej doli.

Ja cierpię tylko wtedy, gdy Wy tam, najdrożsi, szczególnieście biadacie... Może to przeczuwam?

W jeden prześliczny poranek, jak mówi się w powieści, ocknę się między Wami...

I cóż, że mnie wysyłają kędyś dalej?...

Przestrzeń się powiększy, ale to nic nie znaczy, bo duszą i sercem jam zawsze z Wami.

Przecież moja najdroższa Mateczka jest wierzącą i wyznaje, że Bóg jest najsprawiedliwszą istotą... I gdy wypadnie umrzeć, nawet z daleka od Was, to i wtedy rozpaczać nie będziemy.

Strumieniu ty, rzeko polskich łez... kiedyż ty przepłyniesz piachy i niwy – kiedyż Wisłą wezbraną wpłyniesz do Morza Wyrównanych Krzywd – olbrzymią wieszczą falą runiesz na koralowe skały Wysp Wniebowziętych – ?

W radości bezmiernej swobody kiedyż zapomnisz, że tak cierpiało twe serce, przeglądając się w miedzianym samowarze w żydowskiej karczmie?!...

– Pan nie pójdzie obejrzyć kościół? tu jest ksiądz uczony człowiek, ale ma trochę tu! – I uderzyła się w czoło.

– Wun zna całego ziemnego szaru... ale... jest trochę wyklęty przez swojego naczelnika, takiego biskupa, co to szedzi w Zimie. –

Za ścianą głos modlącego się talmudysty przygłuszył jej słowa.

– Mój mąż już trzeci miesiąc tak modli się za duszę syna... ja miałam sen, że syn miał jeden wielki grzech na sumieniu... że wun już nie chciał być polskim Żydem, tylko się nazwał Mister Sam... –

Piotr podeszedł do Newachowej, wziął ją za rękę i długo patrzył w jej biedne wypłakane oczy.

– Życzę, aby pani spotkała wszystkich swoich trzech synów – w niebie. Polska nie jest jeszcze żebraczką, żeby trzeba odwagi przyznać się do niej – ale tu na kresach, to coś warte! moja Matka jest też sama – a ból ludzki wszędzie jednaki...

Newachowa ocierała łzy...

– Niech pani poprosi męża, żeby przeczytał werset w Kabale o Bezalielu... który był budowniczym i chciał postawić świątynię na górze, aby zeszyły się wszystkie narody. W księdze II tak zwanej Mojżesza jest też o nim.

– Wszystkie narody – rzekła Newachowa – ja to rozumiem. –

Wyszła, schyliwszy głowę i kiwając tak pojętnie, jakby Bezaliel był jej synem.



IV. KTÓŻ TEN ZNÓW?

Piotr, już uspokojony zupełnie, nalał herbaty i wrzuciwszy cukier, patrzył: maleńkie pęcherzyki powietrza wypływały z dna na powierzchnię. Uwolniły się z białej kamiennej niewoli – któż je teraz ujmie? wypłyną wolne z dna na powierzchnię przez drzwi otwarte, przez szpary podłej chałupy wzlecą ku obłokom – aż tam ku Ajterom Szelleja i Słowackiego gwiazdom... „zimnym, świata szatanom”...

Wiatr wionął, zatargał płomieniem...

Mysząc, że wszedł talmudysta z werselem o Bezalielu, Piotr nie odwrócił głowy.

Mrok zasłaniał zresztą grubym kirem połowę izby, gdyż oszczędna Newachowa, wniósłszy szabasówkę, wyniosła lampę...

Zza samowaru mdłym blaskiem światelko jaśniło zaledwie stół ze szklanką herbaty i obwarzankami.

– Dobry wieczór wigilijny panu podróżnemu – zabrzmiał głos szczególnie mocodawczy mimo spokojnej treści...

Więzień wpatrzył się w ciemność, mając wrażenie, że tam z murów pieca wyszedł jakiś Arianin dawny.

– Hm... – ozwał się ten ktoś.

Piotr ujął lichtarz i podniósł do góry.

Ale zaraz postawił, sam natomiast powstał.

Było coś jakby ze „Sądu Ostatecznego” Michała Anioła w tej czaszce z głębokimi cieniami.

Na wygolonej twarzy starca świeciły ametystowe oczy, wcale nie księżę, ale srogie, jasnowidzące, niby u człowieka, który spędził kilka zim pod biegunem, zanim go *odkrył*.

Twarz uderzała nadmiarem treści duchowej, wydawała się monstrualna ze swą kopułą wielką czoła i rozwianymi włosami, z cięciem przez twarz, które zmiażdżyło dolny kawałek czoła i przegubie nosa, – takie lico w snach swych obchodził dokoła Rembrandt, lecz nie ujął nigdy!

Ustami szerokimi, jak u fauna, puszczał kłęby dymu z fajki.

Sutanna mocno zrudziała okryta z wierzchu niewyprawnym kozuchem chłopskim, długim prawie do kolan.

Pod pachą dębowy kostur. Widać było, że ten człowiek nie robi sobie nic z całego świata, zawsze jest gotów – jechać w karecie poszóstnej, wybrany na papieża, czy brnąć w mazi jesiennej, między katorżnikami.

– Ksiądz jestem – wypuścił z kłębem dymu tak wielkim, jak kiedy naraz otworzą się wrota wielkiej fajczarni padyszacha, gdzie siedzi on z czterdziestu mułami, pogrążonymi w chmurach Najwyższej Mądrości.

– Żandarm starszy dość pocziwy człowiek. Zna mnie z dawnych jeszcze lat – puścił Pana na moją porękę, żebyśmy razem spędzili Wilię.

Oni będą czuwali w dalszym pokoju. –

Piotr stał się ciemny z purpury gniewu.

Znowu pokusa? nigdy.

– Bardzo ksiądz dobrodziej jest uprzejmy.

Ale wyzwolenie na godzinę jest grzecznością diabła. Wilii nie obchodzę. Nie wierzę w opatrnościowe rządy nad światem.

– Staropolski obyczaj. A i Rzymianie wierzyli, że w tym czasie zimowego nawrotu słońca przez całe Brumalia bogowie chodzą po ziemi i że duchy obcują z ludźmi.

– Nie jesteśmy Rzymianie.

– Pochlebiam, że jesteśmy lepsi. Z nami są wyższe duchy.

– Uczynili księża, że duchów nie ma. Monstrualna teologia odjęła światu waszemu moc twórczą, woli waszej rozpęd swobodnego działania.

Kuria rzymska robi zbyt wyraźne interesy na tęsknocie narodów za tym, czego nie daje materializm.

I dlatego mogłem szanować dawnego księdza. Dziś – jest to bigot lub szarlatan. *Tertium non datur*.

A dodam jeszcze: nie mam duszy współczesnego Polaka – ten mydłkuje wiarę, której nie ma, mydłkuje uczucie wolności, której nie potrzebuje. –

Ksiądz patrzył w niego jasnym wzrokiem.

– Znałem ludzi mężnych... umiających czcić duszę bez względu na partie – rzekł spokojnie.

Piotrowi wydał się ksiądz znanym – z jakiejś opowieści więziennej...

– Nie mieszkał ksiądz przed laty pięcioma w miasteczku Sędziwojewie – – gdzie zdarzyła się dziwna historia?

– Mieszkalem tam istotnie lat temu kilka... i cóż za dziwna historia?

– Wszakże mi opisywał księdza mój towarzysz...

Zanieśli go bezprzytomnego do domu – potem wezwali mu księdza, słowem ostatnie sakramenty...

– Tak...

– Policmajster i strażnicy oblegli dom...

Trzeba było z domu wynieść... wybuchowe przyrządy. Matka mego towarzysza chciała to uczynić, ksiądz nie dał, bo nikogo z domu nie wypuściliby bez rewizji...

Ksiądz wyszedł z Sakramentami. Policmajster i setnicy kozaccy wobec zgromadzonego ludu nie śmieli rewidować księdza, idącego z Ciałem Chrystusowym... Między Rosjanami bywają ludzie głęboko religijni...

– Niekoniecznie ów policmajster... ten mógł być trzynastym na Wieczery... Ale setnicy zaprotestowali bezwzględnie przeciw temu, żeby ksiądz dotknąć...

– Zatem ksiądz jest jednym z naszych?

– Bynajmniej. Uczynilem, jak należało, nic więcej.

No proszę... Dam chleba czarnego, rzodkwi i trochę wina starego, zresztą nic. –

Piotr uczuł się znowu zmrożony wyznaniem księdza, iż nie jest z „naszych”.

Podzielił bowiem świat tylko na tych, którzy walczą za Polskę lub idą przeciw Polsce.

Ale chciał to wypowiedzieć grzecznie.

– Wina nie pijam w Polsce. Tu jest tak mało ludzi wolnych... a przecież tylko wolni z wolnymi mogą pić... –

Zaśmiał się ksiądz, ale tak, że Piotra przeszył ten ostry satyryczny śmiech.

– Ano, zatem nie będzie można rzec:

Nunc est bibendum, nunc pede ligero pulsanda tellus!... Kucharka moja zgotuje żandarmom wieczerzę, a my na sucho ugadamy się.

– Przemilczymy.

– Jako wola.

– Nie zrobię kłopotu?

– Nie robi kłopotu, kto nie lęka się pokotu. U mnie spanie niewygodne, ja śpię sam już w trumnie. Ale tak czy owak – nie możesz waćpan jechać, sanie rozbite.

Posłano po cieśnię, jutro o świcie pojedziecie. Więc, łaskawco, idź za mną, powtarzając z cicha:

– „Czemuż nie do mej Anieli?
żeby diabli wzięli!” –

Wziął Piotr czapkę, idąc jakby z nakazu.

Żandarmi salutowali księdzu. Wyszli razem.

Na dworze szalała zamięć.

Po kilku minutach brnięcia wśród śniegów zaszli w opłotki. Wiatr dziko trząskając gałęzmi, wygwizdywał na krzyżach cmentarza. Mroczyła tu bez-

brzeźna dzikość, ale jakąż muzyką zdała się wobec nudy rozpacznej, która od tylu lat zaścielała pajęczyną duszę więźnia?!

Wiatr ucichł – mur zakrył ich od wściekłych podmuchów.

Kościół w mroku majaczył; za węglem gwizdała zamieć; gwiazdy tańczyły na niebie obłąkanego poloneza, chmury przewalały się niby lawiny śnieżne z gór. Miejscami niebo stawało się czarne, jak wewnątrz zgasłego krateru.

Zaszczeakały psy jeszcze nie spuszczone z uwięzi.

Błysły jarzenia w oknach wysoko.

Potknął się o schody Piotr, idąc za księdzem.

Mrok i stęchlizna murów.

Po schodach krętych szli – zapalka rozświecała kurytarze klasztorne żebrowane o liniach ostrołukowych, rozpostartych niby łapy pajaków zwanych kosarzami. Zapalki zgasły, nie było ich więcej. Ciemność zdwoiła się.

Strachem wiało od tych murów zamierzchłej przeszłości – zdaje się, że konała tu ona tak długo, aż nie zamarła już całkiem, jeno zmroczniała w świat niewidzialny.

– Kiedyś tu był klasztor cystersów, kwitnęła nauka i sejmiki; potem mieszkalo wojsko napoleońskie... potem ruina... ja odrestaurowałem – mówił ksiądz zniżonym głosem, który dziwnie brzmiał wśród brzęku żandarmskich ostróg i ciężkich stąpań.

Na oścież otwarły się drzwi, jasność ich ogarnęła, wywołując silniejsze oddechy serca.

– Otóż u celu. Kto się w opiekę odda Panu swemu, ten na smokach jeździć będzie.

– Raczej tego smoki same powiozą – odparł z ironią Piotr.

Tajony gniew przeciw losom świata ucichł w nim jednak. Żandarmi odeszli, rozdzielwszy się tak, że jeden zajął izbę wchodową, drugi zaś pokój od wyjścia kuchennego. Zostawili swobodnym cały środek mieszkania.

Nie było słyhać ich kroków, grube mury oddzieliły – i Piotr wchłaniał w siebie widok nadzwyczajności, które mówiły doń niby kazanie Skargi.



V. WTAJEMNICZENIA MITRY

Tajemniczo boskim ekstatycznym jest wpływ ognia, buchającego z olchowych szczap na kominku!

Budzi się dawny Aryjczyk czy Sumeryjczyk, uginają się kolana przed bogiem ognia, który żywie w nas.

Najstarsza i najgłębsza msza, jaką odprawiał człowiek! magnetyzm rozlewający się po jestestwie naszym z tej Ofiary i Przemienienia – wprowadza nastrój świętości.

Komnata, w której był Piotr, składała się z kilku cel, w których usunięto ściany przedzielające; na suficie widać było jeszcze wręgi nieistniejących już murowanych ścian. Okna gotyckie – z witrażami, niektóre zakryte kotarą.

Mnóstwo ksiąg na półkach, ciągnących się wzdłuż wszystkich ścian – od podłogi aż hen po sufit; stół wielki zastawiony doniczkami begonii, księgami w starych skórzanych *in foliach*, tudzież cały warsztat pracy: rękopisy, nożyki pióra gęsie i nowoczesne; ustawione chemikalia różne, retorty, lampki.

Zwieszały się ze ścian mchy podbiegunowe, nadzwyczajnym szatańskim rysunkiem straszły skóry boów jawajskich, maski z Kambodża, Peru i Maori, tkaniny malowane, krisze zatrute, chińskie miecze katowskie. Zapalił mu ksiądz światło acetylenowe, zajrzał Piotr przez tubę mikroskopu i ujrzał precudny rysunek tkanki. Ksiądz zajmował się badaniem choroby raka. Znać było tu wszędzie demonizm życia, oczy rozwarte na niezgłębioną otchłań, upodobanie w niebezpieczeństwach. Napisy przy skórach zwierząt głośiły, że były zdobyte przy odparciu napastników.

Na księgach napisy, drogie uchu Polaka: Waszyngton, Irkuck, miasto Kraków. Ale były i księgi z Bombaju – i Tokio. Widać, że ksiądz mieszkał długo na wielkim świecie i mozolnie zbierał swą bibliotekę.

Biblioteka służyła głównie do badań religijnych, więc były tam dzieła o Chaldejach Smitha, Lassena Indie, Cumonta badania poganizmu, Radlińskiego i Tyrrela modernizm; byli badacze jak Jeremias, Loisy, Chwolson, byli filozofowie dawni, jak Chryzyppus, Plato, Jamblichus, Heraklit, Lucjan ze Samosaty, i średniowiecze Kuzona, Mirandoli, Kopernika, całe ściany zajęte przyrodą – Bill, Darwin, Lyell, Suess, Strasburger, Kerner. Wydania świętych ksiąg Wschodu i kilkaset żywotów świętych przez bollandystów; stosy pism

naukowych, ezoterycznych – – – i nowi myśliciele jak Bergson, Poincaré, Sorel, Simmel, Driesch.

Z dzieł polskich zauważył Piotr, rozglądający się po tych cudach z wypiekami na twarzy – „Bibliotheca fratrum polonorum”, „O naśladowaniu Jezusa” w pysznym tłumaczeniu polskim z XVI wieku i z miniaturami ręcznymi; literaturę emigracyjną z Mochnackim i całą ścianę zajętą Rzewuskim, Kraszewskim, Wieszciami, Norwidem, – byli pisarze po roku 63 i Młoda Polska. Teraz dopiero wyczuł Piotr bezmiar swej tęsknoty za wyrośnięciem wzwyż, za dokonaniem swego czynu i swej myśli...

Z siódmej klasy poszedł już do boju – i zamiast wtajemniczać się w misterium chemii Mendelejewa – stanie się procesem chemicznego rozkładu w fosie przyfortecznej, zdeptany grubymi butami żołdatów. Z nienawiścią spojrzął na rozwartą Biblię, wziął do ręki największego z wrogów chrześcijaństwa Kelsosa, filozofa z II wieku po Chr., który potężniejsze wymierzył ciosy krzyżowi niż Nietzsche w „Antychryście”. Przerzucał wzgardliwe zarzuty „temu tłumowi nieuków” – wtem oczy jego padły na miejsce wielkiej ciszy, w którym jakby godziły się wszystkie kultury świata.

„Zaiste, jest tylko jedna droga dla dusz ku ziemi i od ziemi tam wzwyż – która idzie przez planety, jak o tym mówi Platon. Świadczą również misteria Mitry u Persów. Wyobrażenie dwu ruchów na niebie, planetarnego i gwiazdnego – oraz przejście duszy przez takowe: schody z wysokimi bramami, nad tymi jeszcze drzwi ósme. Pierwsza brama jest z ołowiu, druga z cyny, trzecia ze spiżu, czwarta z żelaza, piąta z metalu mieszanego, szósta ze srebra, siódma zaś ze złota. Pierwsza przypisana Kronosowi, przez ołów znamionuje powolność tej gwiazdy; druga Afrodyty, porównana do niej jasnością i miękkością cyny; trzecia Zeusa – – „ze spiżowym progiem śmierci”; czwarta Hermesa, gdyż spełniając wszystkie prace, żelazo – jest giętkie i wytrwałe; piąta Aresa, z mieszaniny srogiej utworzona; szósta księżycy – srebrna, siódmym jest słońce, złoto naśladuje jego barwę. Przyczyna takiego podziału gwiazd jest częścią przyrodniczą, częścią muzykalną – którą teozofia Persów rozwija”.

Już nie mógł ovladnąć sobą Piotr – zawarty dotąd za bramą z ołowiu – za bramą, dokąd wchodzi się młodzieńcem, a wychodzi starcem, nie poznał innych bram życia! Korzystając, iż ksiądz wyszedł zarządzić posiłek jemu i żandarmom, wszedł do drugiej komnaty, tam paliła się świeca.

Wzrok Piotra przeslizgnął się po portretach, lecz szczególnie zajął go obraz o ponurej grze fizjonomii: w sali oświeconej gromnicami stół, zastawiony kryształami i jadłem – cudna kobieta bawi się różą, zaś rozkochany w niej mężczyzna – przebija widmo sztyletem...

Mężczyzna w świetnym oficerskim mundurze papieskiej gwardii...

Wpatrzył się w twarz bladą, demoniczną mężczyzny – i zdało mu się, że jest to nikt inny, tylko sędziwy dziś gospodarz, lecz bez szpecącej go bruzdy pod nosem – z twarzą młodzieńczą, dumną, piękną, zmysłową...

Dalej były obrazy z powstania roku 63, portret pułkownika Sierakowskiego z napisem: Dla księdza Fausta. W kącie stała trumna, w niej skórzana poduszka i trochę siana, nakrytego prześcieradłem. Czyżby ksiądz istotnie tam sypiał?

Wtem usłyszał kroki księdza i jak żak bojąc się kary, chciał uciec do bibliotecznej komnaty, ale się pohamował: ośwładnęła nim myśl ponura, zimna, jak wierzchołki Kaukazu nad burzliwą zaworą chmur. Wiała z otchłani jego duszy bezmierna nicość wszystkiego. Ksiądz wniósł na tacy czajnik z wodą gorącą i herbatą, duże szklance, kawał niekrajanego chleba razowego, rzodkiew, sól i piękne jabłka.

– Oto wilia więzienna – rzekł – pozwól pan ją ze sobą podzielić. –

Z apetytu, z jakim jadł ksiądz ten skromny posiłek, widać było, że karmił się on sam zazwyczaj jeszcze skromniej. Jabłka były dla Piotra zawsze istną radością życia. Wpatrzył się w nie, myśląc o wierszu Słowackiego:

I krwią mię Pan Bóg porównał z jabłonią,
która nie idzie prędko pod obłoki,
lecz ma ciężarny płód i słodkie soki.

Zawstydził się Piotr, ujrawszy, że z pochylonej twarzy stoczyły się mu na podłogę duże łzy. Zawstydził się, gdyż objęła go oto wielka hardość:

tak, on schodzący zbyt młodo do mogiły nie będzie niczym niższy od tych mędrców – wobec sprawiedliwości kosmicznej! gdyż jest tymże promieniem, który „W ciemnościach nie ginie”.

Ale zaczęła go dręczyć myśl, że ksiądz jest hipokrytą, kiedy, zdobywszy wierzchołki myśli, podtrzymuje w innych wiarę w ciemny i martwy kanon dogmatów...

Wyraził to mniej więcej ogólnie.

– Pan myślisz, że burzami rozwierają się najgłębsze wrota, a może tam trzeba iść przez uspokojenie?

– Burzami czy mrówczą pracą, myślę – że wstyd jest dla obecnego Kościoła polskiego, iż nie ma swoich myślicieli, którzy by rozbili stary mur – –

– I?

– Tedy odkryłoby się życie nowe.

– Hm... jak pan mogłeś zabijać, nie wierząc w nic?

– Miałem być Macochem, który zabijał, wierząc? Tak, nie wierzę w nic prócz w mękę życia i w radość słońca.

– Umysł nie wyczerpuje życia naszych głębin.

– Nie chcę, nie chcę tych domniemanych głębin: tam jest atawizm dawnych przeżytych wierzeń. Niegodne wolności Prometeusza!

– Prometeusz! czyli myśliciel, który zaświatom wyrwał ich tajemnicę! –

Ksiądz zamilkł, Piotr zaś wpatrywał się w obraz.

– W upiory pan wierzysz?

– W upiory?

Piotr spojrzał na księdza jak na maniaka. Ale postanowił uderzyć z otwartej karty.

– Tamta Hiszpanka na obrazie nie zdaje się być upiorem z innej planety!

– Hm. Filozofię swą tworzyłem z przeżyć. A ta Hiszpanka właśnie była upiorem. –

Ksiądz zasiadł głębiej w fotelu. Skłębione chmury, wycie huraganu, mrok i ten cudny ogień na kominku wyrażały oczom Piotra to, co wyczuwał jego duch – demoniczną wolność przestworzy nad górami życia!

Trwało długie milczenie.

Wsunął się kot ogromny, pręgowaty, jak pantera – musiał być bardzo zły, bo, zobaczywszy Piotra, zaczął parskać.

Wreszcie, postanowiwszy ignorować go, wskoczył na poręcz fotelu i ułożył się, jak poduszka, pod głową starca.

Ksiądz zaczął już wydmuchiwać popiół ze stambułki bursztynowej, ale ku grozie Piotra – nakładał nową porcję tytuniu. Podał mu jednak młodzian uprzejmie iskrę z pieca wyjętą – rękami okutymi w kajdany niosąc ogień!

Zaczął mówić ten, którego pułkownik Sierakowski nazwał księdzem Faustem.



VI. RÓŻA UPIORNA

Z kardynałem Metastasio żyłem w pewnej zażyłości; lubiły mnie jego damy, mimo iż byłem tylko kapitanem gwardii papieskiej.

Trzeba panu wiedzieć, że nie darmo Włosi nazywali go, również jak króla Wiktora Emanuela – ojcami narodu.

Tak, kardynał zbyt lubił dobre związanie torsu kobiecego z silnymi biodrami bachanckiej Menady. Do tego była już dodatkiem głowa piękna i mądra tryumfatorki na rydwanie . –

(Nie, w żaden sposób nie oczekiwał Piotr podobnego związania misterium o upiorach z torsem Menady! Ale słuchał, wsparłszy się o górny cokół kominka i stojąc w chłodnym półcieniu. Ogień przenikał różnobarwny witrażowy ekran szybek, oprawnych w żelazne ramy – rzucał migoty na biblioteczną komnatę, igrał klejnotami na starych voluminach, na rozwieszonej skórze jawańskiego boa, i lśnił na baśniowych tarczach – na emaliowanych starych misach z Faenzy.)

– Rozpustnik, szalała wołyński, którzy to obywatele, jak wiadomo, w ogóle nie odznaczali się za moich czasów ani patriotyzmem, ani uczonością, ale za to bałagulstwem i niby tężyzną... W tym jednym byłem odrębny, że zdążyłem otrzymać doktoraty przyrodniczy, matematyczny i filozoficzny.

Słowem, ja, hrabia Apolinary – o nazwisko mniejsza i tu pan mego nazwiska od nikogo się nie dowiesz – spotykałem się nieraz z kardynałem we czwórce przy sarkofagu Attisa, ubranym we fiołki. Sarkofag ten służył nam za stół biesiadny nocami w kardynalskim ogrodzie przy Villa Doria Pamphili. Hm... (olbrzymi kłęb dymu wyrzucił ksiądz ze swej fajki).

Razu jednego szedłem pustą uliczką na Trastevere za Fortecą Anioła. Ulica pusta; szabla ma wesoło dzwoniła, to znów milkła na brukowcach, porośłych trawą. Nie było ani jednego przechodnia. Mrok, cisza głucha, mimo iż rzędy pałaców starodawnych bywają jeszcze i teraz miejscem hucznych karawaków...

Balsamiczny wieczór niósł zapach pinii, które mroczniały niby pagody. Jednocześnie jednak wionął mokry zabójczy wiew od wspaniałych łąk na maremmach, które ciągną się od Rzymu wzdłuż morza.

W takiej świeżości wonnej myśl o śmierci zaczęła kołatać cichutko – do zapomnianej maleńkiej furty mojej Jaźni.

Nie było nikogo na ulicy. Nie płonęły tu latarnie. W niektórych oknach mżył blask, ale zakryte były persjanami, czyli po naszymu – żaluzjami.

Wtem – upadła róża do mych stóp. Tchnęła wonią tak silną, że napowietrzną drogę, którą leciała, przepoiła też aromatem.

Podjąłem, w mroku jej nie widząc – ale musiała być szkarłatna. Ukryłem ją na piersi, patrząc jednocześnie ku oknu, z którego mogła upaść. Pałac pogrążony był w mroku.

Błysło nagle światło w oknie parterowym – stała z latarnią w ręce za kratami dama nadzwyczajnej urody.

Obyczajem, praktykowanym przez młodzież arystokratyczną rzymską, zachowującą jeszcze tradycje hiszpańskie, rzuciłem płaszcz bogato wygalonowany w smugę światła, padającą na bruk.

Ugiąłem kolano przed Piękną i, dotknąwszy kapeluszem ziemi, zacząłem mówić jakąś nagłą improwizacją zachwytu i prośb.

Ku zdziwieniu memu dama odrzekła mi po hiszpańsku:

– Teraz jestem samotna, miej łaskę do mnie przyjsć... –

Nie trzeba mi było powtórzyć. Staroświecka z brązu kołatka, utwierdzona nad klamką, przedstawiała nad gniazdem węzów leżącego Feniksa.

Zniknął blask od okna. W ciemnościach drzwi rozchyliły się za naciśnięciem niewidzialnej sprężyny, gdy ujął i machinalnie przekręcił kołatkę. Szedłem omackiem w mroku.

Dziwny, precudny głos zawołał na mnie po imieniu wysoko nad schodami.

– *Señor Apollino...* –

Nigdy w życiu nie słyszałem podobnie fioletowego głosu. Zdawało się, że to zadźwiękła fontanna, spadając z czaszy złotej w amforę kryształną. Taki nieziemny głos mają na wiosnę lodowce górskie, gdy metaliczne dźwięki ich łączą się z mową czarodziejek.

Szedłem z wolna po schodach, przygniatało mnie wzruszenie.

Na drugim piętrze już było jaśniej, drzwi od rozświetlonej sali otwarte.

Postać damy wwiodła mnie do wspaniałej komnaty, gdzie sufit wykładany grubymi taflami rzeźbionego czarnego dębu czy hebanu, boczne ściany okryte arrasami – bardzo staroświeckimi.

Moja dama ubrana w strój, jaki widzimy na obrazach Welaskeza.

Na szczęście mówiłem biegle po hiszpańsku.

Powitała mię skinieniem róży tak pąsowej, że aż czarnej.

Uprejmie wskazała miejsce naprzeciw siebie.

Zająłem jedno z krzeseł gotyckich, podobnych do tronu i konfesjonału zarazem.

Na stole lśniła wspaniała zastawa z kryształów i najdroższych fajansów emaliowanych, talerze były z grubego srebra.

Znając etykietę hiszpańską, nie ważyłem się przekroczyć jej realnymi pytaniami, lecz jedząc zamorskie i dziwnie po staroświecku korzennie zaprawne potrawy – mówiliśmy na temat mistyki i miłości.

Mało pomnę z tej rozmowy, prowadzonej w upojeniu wszystkich zmysłów, oczekujących najwyższego momentu – jeden tylko dwuwiersz, który mi rzekła wśród mnóstwa rzeczy przedziwnych ta Doña:

*La muerte y el amor, pasando el camino,
la noche los tomará en una posada.*

To znaczy – jeśli pan nie rozumiesz po hiszpańsku –

– Tak, zapewne? – rzekł Piotr:

– Śmierć i miłość płynęły w gondoli –
noc ich ogarnęła w ciemnych odmętach. –

– Hm... masz pan wyobraźnię na niekorzyść filologii. Wiersz znaczy po prostu:

Śmierć i miłość chodziły jedną drogą –
noc ich zastała w karczmie.

Dość, że następnego dnia – –

– Jak to, kapitan przebył tam całą noc?

– Nie byłem jeszcze księdzem. Zresztą cóż mam rozwlekać? Czy to, że potrawy zmieniały się szybko, że podawałem sam – biorąc je z niszy, w której obracało się okno ślepe – to jest takie, że służba dalej będąca widzieć nas nie mogła.

Najłżejszy szelest nie zdradzał niczyjej obecności.

Po deserach, które były istną obiata na cześć boga Komusa, po winach – gdzie piliśmy cherez i gatta, który podobny, ale wyborniejszy od szampana – nie musuje i nie oszałamia. – –

Przeszliśmy do salonu, zdobnego w olbrzymie, matowe, staroweneckie lustra. Na kominku palił się ogień. Podeszliśmy do wieżycowego ekieru, w którym ściany i sufit były wyłożone lustrami.

Tu stały taburety, maurytański stolik wykładany tęczą perłowej masy.

Moja nieznajoma usiadła tu, rozświecona blaskiem płonącego kominka.

Ujrzałem ze zdumieniem, iż wszędzie na ścianach, na podłodze, na suficie – odbijała się postać jej, owiana lucyferycznym czarem grozy i żądz.

Wzięła mandolinę i śpiewała mi pieśni cudowne –
Niepodobna tego przełożyć, bo jest to już złączone z melodią. Rozmawia
szatan z mniszką:

Noc mej duszy wychodzi za horyzonty tam –
gdzie wyje mrok wśród piekła bram.
Oto jesteśmy w Hadesach już goście –
i zamiast płaczu, mamy radość...
Złam krzyża jarzmo! miła kochanko –
Nad głuchą gwiazdy tu lśnią Ananką.
– Zrzuć, potworze, swój czarny
habit i maskę!
Wejdz, miłuj – świat jest mi cmentarny!... –
– Zgasimy ziemię swych skrzydeł podmuchem!
w gwiazdzystej szermierce
wypromieniaj łaskę:
Jestem Twym duchem –
Tyś jest me serce!

Następnego dnia wyszedłem, śpiesząc na wartę przed komnatą Jego Świą-
tobliwości.

Potem zaś o godzinie dziewiątej miałem eskortować papieża na mszę, któ-
rą odprawi wobec wielkiego tłumu unickich pielgrzymów.

Kodeks służbowy w Watykanie jest bardzo surowy, będąc całkowicie na
honorze oparty.

Wtem na końcu ulicy spostrzegam, że nie mam przy boku szabli.

Niepodobna bez niej odbyć warty w papieskich pokojach.

Wprawdzie można by kupić po drodze, ale – co za wstyd! Kapitanem
będąc, który za najmniejsze przekroczenie lub choćby dystrakcję karał mie-
siącem twierdzy w Zamku Anioła!...

Biegłem nazad.

Zacząłem dobijać się do drzwi.

Milczenie.

Kołałam coraz mocniej, nareszcie już z całych sił, myśląc, że w pałacu tym
jest tylko moje Bóstwo i że jeszcze nie udała się na spoczynek.

Milczenie. Wściekle echa mych szamotań potężnymi dźwierzami okutymi
w brąz – mogłyby zbudzić niedźwiedzia ze snu zimowego, cóż dopiero mi-
łość!

Na koniec – najmniej po kwadransie – wyobrazić me zniecierpliwienie –
wyszedł z sąsiedniego domu starzec trzęsący się.

Pęk kluczków miał u pasa.

– A to dlaczego Wasza Wielmożność rozwała tu bramę?

– Zostawiłem tam szablę.

– Kiedy?

– Kwadrans temu.

– Być nie może.

– *Carajo, tonto, porco di Bacco, bougre de canaille, vieux saltimbanque!* – ryknąłem wściekły, klnąc wszystkimi językami – kiedy ja, kapitan gwardii, mówię, to znaczy, że tak jest! ty wieżo z kości starego rekina!

– A jednak to być nie może – odparł starzec z flegmą – pałac niezamieszkały od lat trzystu, należał do pewnej księżny hiszpańskiej. Obecnie jest własnością ostatniego jej potomka, który nigdy tu nie był, a mieszka w więzieniu dożywotnim pono aż w Czili – za jakąś nadzwyczajną zbrodnię. I nikt tu nie wchodził od czasu, kiedy byłem jeszcze młody, ani ja sam, bo mi to w klasztorze pod przysięgą zakazano. –

Oślupiałem, wglądając się w poważne, bezwarunkowo nieklamiące rysy starca.

Więc obłąkany?

I prosiłem już bardzo uprzejmie, ale zdecydowanie, aby poszukał klucza i pałac mi otworzył.

Po namyśle wstrząsnął głową.

– Ha, śmierć moja się zbliża... mogę Waszą Wielmożność przekonać i sam zobaczę, czy wszystko w porządku. Tu nocami bywają dziwne rumory... muzykę słyhać orkiestry, a czasem jakby sto osób tańcowało... Papież tu chodzi i odbywają się straszne igrzyska. I tu przychodzi diabeł w postaci kobiety –

– Idźmy, *vamos! andiamo!* – odparłem niecierpliwie na to snowidzenie starca.

Z mozołem przekręcił klucz w zardzewiałym zamku, bo Feniks ów nad gniazdem węży tym razem jakoś nie otwierał.

– Ta sama sień – mruknąłem, wchodząc – szabla ma będzie tam na górze. Trzeba ostrożnie iść, aby śpiącej już zapewne Pani nie obudzić.

– Nie ma tu żyjących – odparł z mocą starzec. – Widzisz, kapitanie, kurzu jest tu więcej niż cal na schodach. Ale ba... *corpo della Madonna!* – tu są ślady stóp – akurat właśnie Waszej Wielmożności... Wmieszała się nieczysta siła albo pan jesteś złoczyńcą, który ma podrobiony klucz! –

Zostawiłem zrzedzającego furtiana, przeskakując naraz po kilka schodów, aby uprzedzić damę o niespodzianym najściu.

Stałem na drugim piętrze. Rozwarłem na oścież drzwi, nie otrzymując odpowiedzi na zastukanie.

Nazwałbym pewien rodzaj mistycznego strachu mrozem Komandora, bo zmieniłem się w statuetę.

Wszakże sala była pustą zupełnie, a że ta sama – mogłem przysiąc, wobec arrasów, mających przy wieczerzy oglądane motywy rycerskie: bój z Maurami, herby królestw Kastylii i Aragonu.

Stół i krzesła te same gotyckie – nie było tylko nakrycia do wieczerzy.

Ale to zrozumiałe. Uprzątnięto. Na zapyłonej grubą warstwą posadzce – istotnie, chyba od wieków nie zmiotanej – ślady mych stóp! Wiodły, okrążając w wielu miejscach stół. Krokami równymi jak w lunacji – aż do końca drugiego salonu widoczną linią szedł ów ktoś.

W salonie tym nie było już ognia na kominku, wiatr gwizdał.

Podszedłem do wieżowego ekieru, wyłożonego lustrami. Tam nie było maurytańskiego stolika – jedynie szabla ma stała w kącie.

Gdyby mnie nagła purpurowa błyskawica uderzyła z sufitu, nie byłbym tak wstrząśniony. Jestem w labiryncie mroków. Żadnej nici w tej Abrakadabrze i jeśli nie dojdę zaraz do sypialni pięknej Nieznajomej – to położę krzyż nad swym umysłem. Zresztą nie zdawałem jeszcze sobie sprawy ze znaczenia tych przeżyć.

– Kto mnie zwiódł? – wybuchłem, biegnąc po salach pustych z szablą gołą, gotowy przebić.

W ten sposób salę i komnatę poprzednią przebiegłem, lecz nigdzie dostać się nie mogłem, gdyż wszystkie drzwi były zaryglowane i zamknięte olbrzymimi kłódkami. Ale rdza w nich i pajęczyny świadczą dostatecznie, że z dawna nie były otwierane.

W ciągu zresztą kwadransa, jak zniknąć mogły wszystkie meble, całe urządzenie komnat?...
Gdzie ich mieszkanka?...

Sięgnąłem do piersi po różę – wydobyłem białą, ale z wyraźnymi plamami krwi.

To łatwo objaśnić: palce mogły być zadraśnięte przy rozwieraniu tych dźwierz – mruknąłem.

Woń róży upajająca i infernalnie cudna – w jednej chwili ożywiła we mnie wspomnienie i kategoryczną pewność, że ja naprawdę tuliłem tu żywą Nieznajomą.

Wyszedłem z pałacu.

Ulica – Rzym i ja, hrabia Apolinary – kapitan gwardii – obłąkany czy nawrócony?

Zanadto czułem szaloną niezgasłą rozkosz w mych żyłach, aby wątpić, iż przeżywałem chwile z Wenerą piekiel.

Nie wróciłem już do Watykanu. Szablę mą zawiesiłem nad ołtarzem pierwszego spotkanego kościołka.

Wstąpiłem na nowicjat do najsurowszego klasztoru i zrobiłem ślub, że będę księdzem. Co prawda, nieraz tego żałowałem, bo jeśli człowiek nie może się pomieścić w świecie, to cóż dopiero w sutannie?

Sprawdziłem potem w kronice historii, że mieszkała w tym pałacu księżna hiszpańska – miłośnica Cezarego Bordzia, która królowi neapolitańskiemu pomogła kochanka swego przywabić i uwięzić. –

*

*

*

Ciemno, kominek przygasł. Wtem głównia, wypadając, rozrzuciła krwawe fontanny iskier.

Rozchyliła się brama miłości, którą w misteriach Mitry przedstawiano z lichego metalu – cyny.

Taką może była miłość służebnic Afrodyty Cypryjskiej, jadącej na wspinałym dwukolnym rydwanie z czarnego hebanu, wykładanym mozaiką z koralu, złota i szmaragdów – rydwan pędził nad morzem wśród leśnych gęstwiny, a ciągniony był przez mitycznego jelenia. Służebnice Afrodyty cynowym węzłem spajały ze sobą ciała ludzkie...

Lecz taką nie jest miłość natur prostych a głębokich... i Piotr pod wrażeniem opowieści przypomniał sobie ów cudny śpiew hiszpański – zdało się mu, że gdyby umiłowana kobieta tak zaśpiewała, umarłby u jej nóg...

O ven, ama... eres alma, soy corazon!

Umarłby dla świata... Poniósłby ją Piotr nad jeziora amerykańskie Ontario lub Eri, jak mu to jeszcze cudniło się z opowieści Mayne Reida – zbudowałby tam chatę i żyłby tam... z nią...

Lecz Polska? a więc później dopiero, dokonawszy już swego czynu w Polsce, miałby prawo tam wśród lasów olbrzymich, nad wodospadami – żyć z umiłowaną...

Otrząsnął się – i pomyślał: za kilka dni sznur złamie kręgi mej szyi i zagaśnie moje życie. Nie trzeba zniewieszczać woli mej marzeniem. Wierzyłem w upiora Polski – z nim spędzałem chwile ekstazy. Halucynacje... rewolucjonisty!... –

Ozwał się głośno, starając się nadać inny bieg myślom rozpaczonym swego serca.

– Więc tylko dwa wnioski, jeden – że przywidzenie – nagły ostry napad obłądki, który kapitanowi, wiodącemu życie rozpustne, kazał nawrócić się i powiesić szablę na ołtarzu, szablę wcale zresztą niekaraną stanem w kacie. Taki wybuch ascezy znany – –

– A drugie – zapytał uważnie ksiądz.

– Trudne do przypuszczenia: jakiś upiór, istota zagrobową, przybrawszy postać żyjącą...

Lecz to jest absurd. Po prostu ksiądz jest poetą, psychikiem, skłonny do autosugestii.

Idąc jednej nocy mroczną ulicą Rzymu i stanąwszy przed opuszczonym pałacem, ujrzał gwiazdę, odbitą w jednym z nierozświetlonych okien.

Przekręciwszy w sposób wypadkowy zamek u bramy – wszedł – i w mroku młody kapitan przeżył halucynację wywołaną przez żądzę miłości, wizję Inferna... W ojczyźnie Danta i u stóp świątyni katolickiego fetyszyzmu – o to nietrudno... –

Zaśmiał się ksiądz, puszczając kłęby dymu.

– Życie nie daje objaśnień i ja ich nie dam. Musiało to być silne przeżycie, jeśliś uczynił ślub, trwający przez całe lata, liczne jeszcze od owej epoki.

– Niestety, uczuł się ksiądz już związany sutanną później – kiedy przyszła chłodna refleksja?

– Któż waćpanu prawo daje tak do mnie kołatać?! nie zostawiłeś wszakże u mnie swej szabli! – rzekł zimno odpychającym głosem ksiądz. – Jeśli waćpana nie uważam za łotra jak wszyscy współcześni ziomkowie, to nie mam jeszcze żadnych danych do przyjmowania za sędzie.

– Przywykłem w więzieniu, że się zna tylko dwie kategorie: wrogów i braci – odrzekł hardo Piotr. – Dziękuję za opowieść. W porę pożegnać będę musiał. –

Ksiądz może pożałował porywczego słowa, ale jak każdy bardzo już rozwinięty umysł – gniewała go spotkana w kimś mechaniczność myślenia. Nie żądał ślepej wiary dla swej opowieści, ale może oczekiwał radości w Piotrze, iż życie przedstawia wszelką możliwość... Więc odrzekł mu, nie zważając na jego powstanie.

– Cóż to za ścieśnienie świata w te dwie kategorie? jeszcze jest cały miliard ludzi nam obojętnych, ale którzy przedstawiają nieużyty skarb naszego życia. Bo któż ręczy, czy ten obojętny w danej chwili człowiek nie będzie za godzin kilka bliższy nam od brata? Zresztą są jeszcze ludzie samotni, wędrowcy ku krainom dalszym niż ludzkość i tych nie da się zawrzeć w żadną kategorię. –

W Piotrze żyła utajona potrzeba wyrwania się z cieśni pozytywizmu, ale chciał to uczynić drogą podstaw naukowych. I nagle zrozumiał, że ksiądz Faust daje mu w osobie swej tę możliwość Wiedzy – zadrżał. Wyciągnął ręce, jak człowiek zamurowany w grobie ku zbawcy.

– Darujcie mi – rzekł ze wzruszeniem – jestem lampą, która szybko zgaśnie. Jeśli możecie – Wy, dziwny Panie, rozewrzeć przede mną jedną za drugimi owe bramy wtajemniczeń – bramy Mitry – ach, wtedy żyć będę życiem Waszym, niewątpliwie dostojnym, ulecę na rydwanie Waszej myśli w głębiny świata mi nieznanego. Nikt nie żądał od nikogo większej łaski niż ja teraz. Żą-

dam najgłębszych skarbów, które zebraliście w życiu, które chowacie być może dla siebie czy dla swego Boga. Może dla dalekich pokoleń chcieliście zawrzeć w księgę, która byłaby zbiornikiem wiedzy duchowej w katedrze narodu. Mówię mistycznie już, bo dlaczegóż mam trzymać się tej zgnilej gałęzi pozytywizmu, która, łamiąc się, strąca mię w otchłań bezgranicznego mroku?

Nie lękam się zgonu. Owszem, patrzę weń, jako w najwyższe wtajemniczenie. Nie dałbym sobie śmiertelnych godzin odjąć za cenę życia wiecznego.

Chcę umrzeć, ale w pełni zachwytu i przerażenia, przebywszy wszystkie stopnie grozy, zamyśleń, wielkich błyskawic, sfinksowych zagadnień. –

Znam bramę z ołowiu.

Przebyliśmy teraz bramę Afrodyty upiornej. Brama to nie z cyny. Metal fałszywy. Spaja i pogrąża ciężarem. Brama to z rubinu; narodziła Was, jak matka w purpurze żądy. Prowadźcie mię – Wy, dawny mędrzec eleuzyński ze swym adeptem. Godny jestem być nim. Przysięgam. Można mi wierzyć. Mam duszę rozpaczłą, ale świecą w niej Oczy mądrości i jasnowidzeń. Tylko zbyt daleko jeszcze ode mnie – i nie będę miał czasu już ku moim własnym Oczom iść.

Więc prowadź mię Ty, Sokratesie polski, lub może zacieśniam Was znowu – bo Sokrates był realistą...

– I ja jestem realistą. Realizm ten jednak wewnętrzny, którego nie ujmujemy przez zmysły. Znał to Sokrates w swym dajmonie – i nazywał ten głos wewnętrzny – pójściem za swym bogiem... *Sequere deum*. Ale muszę zrobić zastrzeżenie: w misteriach uczeń zwał się mistos, a wyższy, mający już dar kontemplacji – był to epoptos, nie adept. Nazwa ta przysługiwała w średnich wiekach tym, którzy już władali tajemnicą przemiany kruszców w złoto (filozoficznym kamieniem) lub życiowym eliksirem. Jeśli mnie zaszczytasz tytułem Mistagoga, sam weź pochodnię intuicji, gdyż bez niej będziemy roztrącać się w mroku o rzeczy Niewyrażalne. Nie będę mógł prowadzić cię, jak to sobie wymarzyłeś, przez bramy w tym porządku misterii indyjsko-irańskich.

Wprawdzie mógłbym dobrać z mego życia różnych opowieści i misternie doprowadzić je pod ten schemat. Byłaby to literatura, sztuczność nadobna i może poniekąd bawiąca umysł.

Ale życie nie wiedzie przez bramy ani te, ani w tym porządku, ani w tej liczbie. Oto nasuwa się mi opowieść...

– Wiem, że z tych opowieści będzie niejedna spiżową, żelazną, ze złota... lub nawet bramą ze szmaragdu – szepnął cicho Piotr.

– Dopiero jest godzina ósma – mamy przed sobą długą, zimową noc.

I oto nasuwa się mi życie moje w powstaniu, do którego wstąpiłem wkrótce po tym przejściu z Upiorną Różą.



VII. MIŁUJMY, ZWALCZAJĄC WROGÓW SWYCH!

Było to latem – walczyłem, wiodąc oddział Kurpiów, wśród Puszczy Kampinoskiej... Powstanie wrzało w pełnej sile.

Szczególnym okrucieństwem względem nas odznaczyli się starowiercy.

– I koloniści niemieccy – dodał Piotr.

Zachmurzył się ksiądz.

– Jeśli waćpan wszystko wiesz dokładnie, mówić nie potrzebuję. –

Piotr zamilkł jakby Harpokrates, bóg milczenia, nie tylko palec położył mu na ustach, ale ściągnął je olbrzymią żelazną kłódką. Istotnie, opowiadający, jak medium zamknięte w swej aurze, nie znosi budzenia go dźwiękami obcymi. Widać było, że ksiądz zapada w mediumizm swych myśli.

– Był oddział ze samych starowierców. Straszni fanatycy... nas mieli za wcielonych diabłów, służących Antychrystowi. Wieszali bez pardonu każdego powstańca.

Wtem pikiety doniosły mi, że ten właśnie oddział starowierców, złożony z samego ochotnika, a więc nieobjęty kodeksem wojny, kąpie się w wielkim stawie pobliskiej wsi.

Zrozumiałem niezwykłą sposobność, gdyż obecności mego oddziału nikt z nieprzyjaciół nie podejrzewał. Owszem, sądzili, że znajduję się o mil dwadzieścia, gdzie byłem dnia onegdajszego. Wziąłem jedynie oddział kawalerii, kazać Kurpiom pieszym iść forsownym marszem przez lasy na przełaj.

Co pary w końskich płucach gnał szwadron, to jest około osiemdziesięciu ludzi zbrojnych w najlepsze sztucery, piki i szable.

Przelecieliśmy jak wicher przez wieś.

Wypadliśmy przed staw – który był głęboko wśród wzgórz.

Jeszcze nie było widać kąpiących się.

Starowiercy zachowali się z dziwnym, jak na wojnie podjazdowej, niedbalstwem.

Nie postawili czat.

Kazałem kawalerzystom mym co prędzej okrążyć i łańcuchem staw zagarnąć.

Na me silne gwizdnięcie nagle wdarli się ku wzgórzom, celując ze sztucerów w gromadę hałasującą, chlupiącą się w wodzie z dzikim radosnym rozuzdaniem.

Spiekota bowiem była straszna, samo południe.

Ujrzeli nas, jakby Demonów Śmierci. Nastąpiła martwa cisza.

Nie mogli uchwycić broni, ta była w kozły złożona na łące nieco z dala od brzegów.

Zresztą strzelać w górę pod słońce... nie przydałoby się na nic.

Staliśmy, biorąc ich na cel, jak kaczkę. Dwadzieścia strzałów dając na minutę, mogliśmy w ciągu minuty położyć tysiąc sześćset trupów.

Kilkuset ludzi wynosił ich pułk.

Zawyli brodacze... pouklękali wszyscy w czarnym grząskim mule i zaczęli modlić się do nas z rękami wzniesionymi.

– Batiuszki, pomilujcie!...

Co byś pan wtedy zrobił na moim miejscu, będąc dowódcą oddziału? –

Zaświeciły oczy Piotrowi, zbudziła się w nim nagle furia walki. Srogie oczy Walkirii z lancą lecącej zabłysnęły mu fosforem piorunującym.

– Wystrzelałbym bez pardonu co do jednego... ha! mieć naraz kilkuset takich!... wystrzelałbym mierząc nie w głowy, ale w środek ciała, aby długo męczyli się, ginąc na skwarze.

Miałbym uznanie dla wojska właściwego, które spełnia swą powinność... wojsko wziąłbym do niewoli i wypuścił, odjąwszy broń. Tych zaś – nie, nie!... wstrętne mi jest miłosierdzie, gangrenujące duszę polską... Walka straszliwa, bezwzględna, sroga...

– Wiem. I ja czułem to samo. Znadto dobrze znałem historię Rzymu i kondotierów renesansowych, abym nie pochwalał bezwzględności czynu w chwilach wyjątkowych.

Ale musiałem tu liczyć się z duszą narodu polskiego. Zapytałem chłopów mych, którzy, jak posągi nieruchome, stali, czekając sygnału.

– Co zrobić, jak myślicie, chłopcy? – zapytałem.

– Ognia i zarąbać! – odrzekli hurmem.

To nie mówił Król Duch Narodu. Tłum zawsze ma instynkta niższe niż jednostki, z których się składa.

Ogarnął mię mistycyzm przyszłości.

Zrobiłem wielki krzyż nad tym tłumem starowierczym.

Kazałem broń zabrać, złożoną w kozły.

Zażądałem przysięgi od starowierców, że dobrowolnie wstąpiwszy do wojska – dobrowolnie wyjdą z szeregów.

Nie wiadomo czemu wszyscy – i moi dzielni Kurpiowie, którzy już przybyli od lasa gotowi walczyć – mieli też łzy w oczach.

A to było z radości, że dusza zaprzeczała faktom zwierzęcości.

– Pozwól mi rzec, księżu, co sądzę: Dusza gubi wszystko w Polsce. Za górnie, za mistycznie, za niemożliwie chcemy mieć życie. I dlatego życie realne przeobraża się u nas w taką nędzę.

Minęły czasy tych wiejskich idylli, które opisywał Lenartowicz: sianożęcie, kościółek, zbieranie malin... W Polsce zabrudziło się życie ziemne, bo gdzieś na niebie malowano freski... Zemściły się ideały... Upokorzenia młodości w gimnazjum, nędza rodziny, najbrutalniejsze traktowanie idei odrodzenia przez tłum żuiseków, sądzących świat z wyżyn automobilu, gumowej drożki i prosperującej kamienicy...

Trzeba silnej żelaznej pięści, która by samych Polaków umiała utrzymać w karchach. Ta pięść musi wznosić jednocześnie bramę wolności i posłuszeństwa. Czy w czasach waszych znano tę mękę, gdy wojownicy zmieniali się w bandytów, a naród niewalczący – w gromadę tych brudnych brązowych antylop, zwanych guanaki, które kopią, kłapią i plują, kiedy do nich podejść z zamiarem rozwarcia bram ogrodzenia?...

– Bandytyzm w powstaniu? a jakże miało być inaczej? naród, który nie zwycięża, musi chemicznie rozłożyć się na tchórzów i rzeźmieszków. Chyba że głęboka wiara utrzyma ludzi i nawet wzniesie na wyżyny rozwoju jeszcze doskonalszego, pracy pełnej ofiary i zaparcia się.

Dlatego u nas jest to i tamto, i było tamto i to.

Wiele utworzyło się band, które pod firmą powstania napadały na dwory i rabowały, co się dało.

W lasach hrubieszowskich jedna taka banda zagościła u zamożnego obywatela w Stryeńskiej Woli.

Wziąłem pięćdziesięciu konnych i przebyliśmy w trzy godziny dzielące nas pięć mil.

Ta hołota jednak nie zapomniała umieścić pikiety. Byli to niegdyś tędzy żołnierze.

Podchodziłem do pikiet w mundurze swym polskim pułkownika – ale dostawszy raz w swe ręce takiego wartownika, łamałem mu karabin o kamień i kazałem go aresztować.

Wziąłem dwóch mych żołnierzy najmłodszych, po lat piętnaście, dzieci zatem, wszedłem do pałacu, który huczał od gwaru. Wtem ujrawszy, iż na pierwszym piętrze odbywa się orgia, posłałem po czterech starszych żołnierzy i wachmistrza. Malców mych postawiłem u wejścia. Z żołnierzami wkroczyłem na górę, rozwarłem drzwi.

Kilkudziesięciu bandytów z orzełkami u czapek buzowało przy stole, na którym obok mięsów i antałków z winem leżały nagie dziewczki folwarczne. Można było je odróżnić po grubych stopach i potężnych torsach od delikatnych panien, zresztą te były zalane łzami.

Strasznym był widok ich ojca obywatela, który powiesił się na żyrandolu, nie mogąc tego przeżyć.

Wyuzdanie przelewało się poza wszystkie tamy. Tylko dowódca ich siedział ponury z głową opuszczoną. Słyszałem, iż był to człowiek, który wściekł się i zawziął w sobie na los, a to z powodu, że tyfus plamisty zabił mu niedawno żonę i troje dzieci. Ten w swoim rodzaju bajroniczny Lara, mszczący się na Losie Bogu, mógł wzbudzać litość, ale nie było już dla niej miejsca w moim znieważonym honorze Polaka.

Cztery karabiny kazałem wymierzyć w łby najbliższych siedzących – i wstąpiwszy do sali, donośnie krzyknąłem:

– Waruj, łajdactwo! –

Porwał się tylko dowódca ich, spojrzał na mnie i, z flegmą wymierzywszy sobie z króciwy w usta, wypalił. Usta wypełniły się dymem i krwią, runął. Nastąpiło milczenie.

Krótko, nie szczędząc barw na odmalowanie nikczemności, wykazałem im, co uczynili.

Nastąpiła tu, jak dla starowierów, spiekota – tylko – ze wstydu na policzkach.

Jednemu za drugim kazałem wychodzić.

Każdemu z nich zdierałem szlify, wachmistrz zaś – chłop sześciu stóp i ośmiu cali – wychodzącego brał za kark i, zrzucając ze schodów, uderzał nogą uzbrojoną w ostrogę tak, że rana szła od krzyża aż do pięt.

Folwarcznym dziewczkom kazałem rozdać medaliony z Matką Boską i puścić wolne.

Owe panienki zaś – stały się wszystkie siostrami miłosierdzia.

— —

Tejże samej zimy resztki mego oddziału, pędzone jak dzikie zwierzę po kniejach i moczarach Polesia, zajęły wzgórze pod Mozyrzem. Jest to tak zwana Poleska Szwajcaria. Szerokie góry okryte lasami, pełne jarów – nad rzeką Prypecią...

Ukryci za pniami zwalonych drzew i mając plecy zasłonięte lasem, a na przodzie trzy granatniki, czuliśmy się bezpieczni.

Dopadli nas Rosjanie.

Ich strzelcy rozsypali się tyralierką, lecz my, choćby już z natury położenia, byliśmy górą.

Pułk kozacki ukrywał się w lasku, unikając granatów. Nagle widzę: zdecydowali się na atak, okrążając nas pochyłością wzgórza, które z jednej strony łagodnie zniżano się ku dolinom.

Kazałem porucznikowi artylerii, który był panną z wysokiego rodu, przyjąć granatami, podpuściwszy kozactwo na trzysta kroków.

Tyralierzy rzucili się na nas – było ich kilkanaście rot. Siła ogromna, jak na stu dwunastu strzelców.

Ale dawaliśmy sobie rady, nie dopuszczając do ataku na bagnety.

Nagle słyszę, granatniki milkną. Widoczna zdrada.

Tyralierzy rzucają się na nas jak wściekli. Odpieramy ich z najwyższym trudem.

Za późno! Widzę nad sobą wspaniałych oficerów kubańskiego pułku, ich czerwone koszule, olbrzymie papachy – w jednej chwili mnóstwo spis, chmura szabel, kilkaset wystrzałów ku nam z góry od siodeł konskich...

Skomenderowałem oddziałowi cofanie do lasu, sam jednak, zarzuciwszy na siebie opończę zabitego Czerkiesa, zwróciłem konia do owej panny i ujrawszy ją w objęciach kubańskiego oficera blondyna, wypaliłem mu w skroń.

Ona nie broniła się – porwałem ją na siodło. Nie uśmiechaj się pan (Piotr nie uśmiechał się wcale), umiała ona palić z armat jak wy z papierosnic – lecz teraz nie miała niczego prócz szabli, którą jej wydarłem z nadwichniętej ręki.

Nasi Kurpie, walcząc już nie o życie, zdołali jednak ocalić się w gęstwinach puszczy.

Wpadło na mnie z pół seciny kozaków, chcąc brać żywcem.

Wąwóz dziwnym trafem pozostawał otwarty, ale był stromy.

Nie było rady – spod szabel kozackich wykręciwszy konia, rzucam się z koniem i z nią w śniegim zasypany jar. Leciałem w powietrzu ze trzy piętra. Aby jednakże koniowi nie złamać kręgosłupa – skoczyłem oddzielnie z mym ciężarem, konia trzymając za uzdę.

To lecenie w powietrzu było dziwną chwilą – zapomniawszy czy nie mogąc uprzytomnić, że mam przy sobie zdrajczynię, ścisnąłem ją w tym śmiertelnym skoku jak najdroższą istotę.

Runęliśmy aż po uszy w śnieg.

Za nami posypały się gradem kule, ale nie trafiając.

Miły mój koń nie uszkodził się również. Wychlusnął szczupakami na brzeg wzgórzysty, my, ciągnąc się za uzdę, doszliśmy do konia i wtedy brzegiem urwistym wśród gęstego lasu znikaliśmy z oczu wyjącom z wściekłości kozakom, którzy nas ostrzeliwać już nie mogli.

Niestety, ujrzałem, że krew sączy się z wronego – kula mu rozdarła biodro.

Wyszliśmy na drogę. Wśród zapadających ciemności leciałem jak upiór z ballady, trzymając przed sobą na siodle Lenorę.

W sercu nie było mi do ballad. Ojczyzna skonała na tym wzgórzu. Zatrzymałem konia. Wśród nocy nasłuchiwałem moich strzelców. Głucha cisza.

Uczulem wstręt do życia. Nigdy rzymskokatolicki porządek świata nie wydał mi się więcej niedorzeczny.

Walczyły we mnie dwa uczucia – jedno, to obwiesić na trzęzli pannę, konia i siebie. Drugie – uczucie najwyższej ciekawości, co mogło heroiczną kobietę skłonić do zdrady?

Koń spływał krwią, trza maszerować. Wtem usłyszeliśmy głuchy tętent. Pogoń! Zostawało tylko znowu webrnąć w śnieg tak głęboki, że aż po kolana i wszyć się w gęstwinę lasu.

Marzłem, gdyż byłem nawet bez kożuszka wojskowego, zrzuciłem go w czasie bitwy. Opończa czerkieska zleciała mi w czasie naszego spadania.

Chciała mi panna oddać swój kożuszek.

Ma się rozumieć, kazałem jej milczeć.

Uszy i stopy miałem już jak w kleszczach ściśnięte.

Mogła teraz bez przeszkody czynnej z mej strony zawrócić się i uciec – lecz owszem pomagała mi brnąć przez puszcę.

Ubrana cieplej ode mnie, na nogach miała futrzane buty, czego jej mocno zazdrościłem.

Za kołnierz i za rękawy sypały się grudy złodowaciałe. Po skrzypieniu śniegu poznałem, że było już ponad piętnaście mrozu.

W ciemnościach nieraz padamy na łeb w zdradnych poleskich kępach, które wystają z bagna na łokieć. Chodzi się jak po gąbkach, przy osunięciu zaś nogi lecą w głęboki dół.

Koń znosił wszystko, lecz stękał jak człowiek niesiony po operacji chirurgicznej i utykał. Nie mogąc wytrzymać tych jęków, porwałem go za szyję i zapłakałem.

– Waćpan nie poświęcaj się dla sprawiedliwości – rzekła mi towarzyszka – strzel do mnie bez zwoływania na mnie sądu. Jestem winna, to chyba jasne. Weźmiesz sobie wtedy mój niepotrzebny kożuszek i moje futrzane buty.

Życie twe, pułkowniku, więcej jest warte od twej cnoty.

Oto mam rewolwer, pozwól mi, że zakończę ze sobą.

– Waćpani ulubił się ten oficer? – spytałem ostro, idąc dalej w śnieg.

– Zamilczę chyba. Bo jeśli powiem, to wyglądałoby na usprawiedliwienie.

Winna jestem bezwzględnie.

– Któż to był?

– Mój brat.

– Po Adamie i Ewie?

Przepuściła zły koncept.

– Pochodzę z rodziny mieszanej. Według Mikołajowskiego prawa córki były katoliczkami za matką, synowie prawosławni.

Mój brat oddany był do korpusu; bił się z kaukaskimi wolnymi ludami i zapomniał o tym, że Polska istnieje.

I my o nim chcieliśmy zapomnieć.

W czasie bitwy nagle poznałam go – on, krzyknawszy: Anielcia! pędził ku mnie... W jednej chwili porwał mię w objęcia... Wśród łez szczęścia zapomniałam, że kanonierzy stoją bezczynni – wtem brat mój zaśmiał się dzioko i z rewolweru powalił trzech moich kanonierów – jednocześnie ściskając mnie lewą ręką, abym nie mogła się bronić.

Runęła chmara kozacka, ukryta w dąbrowie – i te trzysta kroków, dzielących nas, przebyli w minutę.

Rzekłam bratu memu:

– Włodziu, jesteś najpodlejszym z ludzi. –

On mi odrzekł: – Wiem. Ale Polski nie cierpię. –

I byłam pomszczona, kiedy twoja kula, pułkownika, przebiła mu oko i mózg. Miłowałam go nad życie!... –

Las wydawał się nie mieć końca.

Tym lepiej dla nas.

Niełatwo znajdą kozacy trupy miatieżników. Obojętnie myślałem o śmierci.

Pragnąłem jedynie – raz ostatni ujrzeć ogień – i przy ogniu odebrać sobie życie.

Na domiar nieszczęścia wichur zaczął wstrząsać drzewami. Mróz stał się czymś piekielnym.

Nie odzywaliśmy się więcej.

Było już blisko północy – wyszliśmy na szeroką polanę.

Zamroczniało przed nami coś jakby chata. Schronisko dla gontarzy leśnych.

Rozchyliłem dzwierze.

Namacałem kupę zmurszałej słomy, kilka dranic nieprzerobionych na gonty lub niecki.

W żaden sposób dREW szablą urąbać nie mogłem, zamiast rąk miałem wrazenie dwóch kłonic ciężkich, które mi przypięto do ramion.

Wtedy ona szablą nałupała drzazg, przyrzuciła rogoży. Nastąpiła chwila takiego wyczekiwania, że aż pot wystąpił mi na czoło.

Siarniki mokre – pełno bowiem śniegu złodowaciałego miałem w kieszeniach i pod mundurem. Zamokły: jeden i drugi, i dziesiąty już odleciały bez najmniejszej iskierki.

Z apatycznie sennym wzrokiem wtuliliśmy się w kąt, mróz nam zaczął zatruć swe igły zapuszczać.

Modlić się jeszcze nie umiałem. Watykan ma umiejętność wyrabiania modlitewnego stiuku i ornamentu. Jeśli dom wiary się zawali, ornament nie utrzyma nikogo.

Wtem usłyszałem trzask stali... To moja towarzyszka uderzała szablą o szablę i rzuciła snopy iskier na mech wydobyty ze ścian.

Takie to proste – ale było wtedy jak cud.

I cud się stał.

Zabłysnął ogień.

Zmieniłem się nagle w Indusa – jestem przy boskich narodzinach Agni – zamiast haomy, którą mógłbym ogień rozjarzyć – mam łyzy cisnące się do oczu...

Umrzemy więc przy ogniu! w jasności Boga ziemnego!...

Przenikliwy aż do serca eter przenika mię. Dorzucamy drewek, potem wielkich szczap... Ogień jak wielki złoty duch zdaje się ogarniać nam serca skrzydłami. Zaszumiała lodowata, posępna, marami upiorów szemrząca, puszcza.

Niech szumi i straszy... nam dobrze tu umierać.

W złotorubinowym jeziorze my dwoje i pocziwy mój raniony koń, któremu podrzuciłem zeschniętych sitowi, aby żuł.

– Jasno jest umrzeć przy ogniu – rzekłem.

Zgodziła się skinieniem głowy.

– Rozbierz się waćpani – mówię bez najmniejszej złej myśli – odzież swą wysusz przy ogniu.

Narzucę twój kożuszek i wyjdę, aby nie krępować. –

Nie miała wyboru, febra ją trzęsła, widać wyczerpała się straszliwym wysiłkiem tego marszu w śniegu po kolana przez tyle godzin... Owionął ją potem mróz, gdy przez pół godziny wykrzesywała ogień...

Tymczasem nałamałem w lesie ogromną naręcz chrustu i gałęzi.

Niecny mróz z wichrem napelniał mi płuca śluzem i krwią.

Nie mogłem już mrozu wytrzymać. Minął kwadrans.

Zastukałem.

Nie ma odpowiedzi.

Ponowiłem stukanie, strach mię ogarnął.

Tylko koń dziwnie jękliwie zarżał.

Rozchyliłem drzwi i prędko wsunąłem się, aby nie wypuszczać ciepła z izby.

Widok był cudowny – centaur obudził się we mnie.

Rozwiesiwszy na tyce amarantową koszulę – leżała przy ogniu naga tak blisko żaru, że uczułem skwarzenie ciała. Koń pochylił głowę ku jej włosom – nieruchomo trwał, nawet na moje wejście uszami nie zarżał.

Porwałem ją i odsunąłem – omdlała: serce biło. Okryłem ją czaprakiem. Żar podzwrotnikowy, ogień walił aż pod sufit, grożąc, że chatę zapali... Smolne kłody, hucząc, strzelały jak z rewolweru i zalewały się lazurową roztopioną żywicą...

Twarz jej prześwieca różowym odbłaskiem konchy morskiej; oczy, nie widzące nic, lecz otwarte niby u lunatyczki, świecą księżycowym poblaskiem.

Łuk bioder przegięty w kształt fali, która wzniosła się, płynąc.

– Cudzie życia – pomyślałem.

Wybuchło we mnie pragnienie wina gorętszego niż esencje Etny.

Wszystkie kodeksy świata ustępowały we mnie wobec szału namiętności i zgonu.

Przypomniałem o ślubie swym w klasztorze San Onofrio – i ślub ten wydał mi się nagle czymś tak lichym jak listek zeschnięty, unoszony przez wspioną rzekę Missisipi.

Walka w boju zawsze podnieca zmysłowość. Stąd owo gwałcenie miast zdobytych, stąd owe bezwstydnne przemowy Napoleona do grenadierów, stąd niesłychanie wulgarne zaklęcia Chłopickiego, którymi sadył, wiodąc kolumny do bohaterskiego ataku na Saragossę – ów zwykle wytworny i absolutnie dżentelmeński generał.

Żar ognia był mi tym, czym Kapua dla żołnierzy Hannibala.

Dość, że – cała *Horticultura animae* przeryta już była wezbranymi potokami centaurycznej woli.

Nie miłując jej, pożadam; rozpętany jestem jak szatan i zrywam wszystkie łańcuchy. Nie wierzę w nieśmiertelność, w nic, w nic! chcę wrócić do dawnego pogaństwa. I nie być księdzem.

Otóż teraz, wpatrując się w to, co było mi niegdyś tak znane i tak uwielbiane, w wspaniałe ciało kobiece – usłyszałem nagle jej słowa w lunatyzmie czy zemdleniu:

– Włodziu, jesteś najpodlejszym z ludzi.–

Zamarłem w sobie – i nagle przeraźliwa otchłań zdała się rozwierać u mych stóp.

Bo nie byłem jednym z tych, którzy niewolniczo przyjęli kanony i zachowują je dla oka przełożonych i gromadki wiernych. Dla mnie nie istniał żaden nakaz zewnętrzny, ale miewałem chwile tak głębokiej wizji, że Duch mię wypełniał, zdał mi się okiem, przez które patrzyłem na wszechświat.

Nie ten Duch natury, swawolnymi płasy igrający na tokowisku cietrzewi, lecz straszliwy Duch Synaju Wewnętrzznego, który każe w naprężeniu woli wznosić się do Nadczłowieczeństwa.

Może tu drwić kabotyn literacki, żuiser salonowy i jakiś babiszon, dążący do „wyzwolenia”. Lecz mówię ja, który posiadałem niejedną z Wener świata, iż długo czekałem na wezwanie Boga, lecz raz uznawszy Go – we własnej wolnej mojej woli tworzącego – już Go zdradzić nie mogłem.

Usunąłem się w kąt – i jakby szatan zawył na łańcuchu, tak ja targnąłem się w sobie. Wreszcie postanowiłem zakończyć już swe życie.

Na to miałem prawo.

Po pierwsze, nie znoszę śmierci w łóżu wśród lekarstw. Nie znoszę też śmierci od starości – kiedy ciało staje się już pomarszczonym owocem Morza Martwego.

Śmierć musi być wzięta w chwili, gdy przełęcz życia już zdobyta – i odąd rozpocznie się już potykanie w dół.

Jedyną omyłką w mym rozumowaniu było, że stałem dopiero u stóp góry, na którą trzeba się jeszcze długo wspinać...

Co innego teraz... teraz jestem gotowy i już naprawdę wolny...

W śnie lunatycznym powstała, nie czując swej nagości. Mówić poczęła wizjami proroczymi.

Mówiła o budowie Kosmosu i drganiach słonecznych, opisywała planety i twory, które tam zamieszkują.

Mówiła wreszcie o Polsce ze smutkiem, ale jakby zoczywszy świetlany punkt, wytrzymała wzrok – zaczęła iść ku niemu, powtarzając wciąż: wodzów nam trzeba – nadludzi! – Doprawdy, jeśli nieśmiertelność bywa połączeniem najwyższego natchnienia duszy z wolą wieczystą – przy kształtach fizycznych, odpowiadających Nike skrzydlatej – ona była: nieśmiertelna, naga, nagością marmurów – kościelna!...

Nie wiem czemu, byłem pewny, że jest ona z rasy kapłanek w Arkonie, które wieszczły wojskom Słowian.

Gdybym był Rytygierem z „Króla-Ducha”, postawiłbym ją na tarczy jak posąg i nioślbym między wulkany islandzkie.

Ocknęła się – dusza odleciała od niej niby ptak ogromny śnieżny w purpurowy zachód – zgasło słońce Jaźni...

Została naga, ładna o śmiałych rysach kobieta. Przetarła oczy. Ujrawszy swą nagość, zdziwiła się.

Ujrawszy mnie, zaśmiała się.

– Co ze mną? –

Szybko pociągnęła ku piersiom czaprak, ale przez to obnażyła się znacznie więcej niż dopuszczała wstydlivość, choćby Nauzikai piorącej bieliznę.

Widząc, że nie jest już odziana natchnieniem, chciałem wyjść.

– Śniło mi się – rzekła – że jestem kapłanką w dawnej słowiańskiej Wenecji. A ty moim kochankiem – i kąpiemy się w morzu. Wstydzisz się mnie?

Wszakże mamy umrzeć – ja pragnę być miłowana... Ty byłeś mi zawsze taki dziwny – chmurny, wiecznie na szczytach lodowych.

Pozwalasz mi, żebym podeszła? –

Milczałem. Wiem, co takie milczenie oznacza: nagle bez pamięci wtopienie ust swych w zatoki wiśniowe jej ust, załamanie wszystkich praw w tym jedynym, które z męczyzny czyni Gryfa czarnego, rzucającego się na morze

kobiece, aby je wchłonać... Zaszumiała mi puszczą pieśń dziką tysięcy wojsk króla Ramy, co szedł walczyć za swą umiłowaną...

Trwało milczenie i już wyraźne z jej strony oczekiwanie.

Wreszcie spojrzała.

Wyciągnęła rękę ku mnie.

Musiałem zblednąć straszliwie, bo zapytała: – Miły! czy nie wierzysz mi, że ja ciebie kocham? czy nie wierzysz sobie, że umrzemy za chwilę przy tym ogniu?

– Jestem Księdzem – wyrzekłem, jakbym mówił – jestem zbrodniarzem.

Nie wiem, kto we mnie, wbrew mej świadomej woli, to wypowiedział.

– Odwróć się waćpan – odrzekła nagle, kombinując wszystko.

Zwróciłem się, patrząc przez szparę w dal śnieżną, gdzie kurniawa szalała w poświatli gwiazd. Ona ubrała się momentalnie, a ja, nagle pożałowawszy wszystkiego, chwyciłem ją w objęcia.

– Ksiądz pamięta, że przegraliśmy bitwę. Trzeba więc drugą wygrać... Tak zaiste, trzeba dowieść przed sobą, że jest świętość. Ja wiem, że nie jesteś duchownym z nakazu niczyjego. Słyszałam, że mówiłeś umierającemu: – żałuj, zuchu, że opuszczasz tę cudną ziemię. – Mówili, że sam dla siebie w lesie odprawiałeś co dnia mszę. Nie słuchał jej nikt prócz ptaków – i prócz sumienia twego.

Otóż jesteśmy już oboje na wyżynach. Umrzyjmy więc.

Chcę tylko wyrzec jeszcze na gwiazdy.

– I ja – odrzekłem.

Wyszliśmy z chaty, kotłowało się pod niebem straszliwie: chmury, gwiazdy. Na ziemi zamieć wśród lasu zaorywała drzewa w bruzdy, szalejąc, gwiżdżąc – jak oblakany Tomko w „Królu Lirze”.

Wtem, wpadłszy tu na polanę, burza zawyła, tańcząc jakiś sabat czarownic.

Objąłem wpół moją najmilszą i patrzyliśmy w świat, mając go pożegnać za chwilę.

Nagle ona mnie chwyciła za rękę.

– Patrz!

Z lasu wyszła gromada jeźdźców, pochodniami oświecali sobie nasze znaki na śniegu.

– Kozacy z dwoma oficerami. Uciekać niemożliwe, koń ranny, a my dwoje. Trzeba ogień zgasić. Nie dajmy się wziąć żywcem. To bajeczny koniec! –

Przyłgnęła do mych ust, zdało się, że na wieki.

Koń niespokojnie zarżał. Odpowiedziały mu krzyki. Wskoczyliśmy do chaty. Przygasiłem ogień śniegiem, który w kącie leżał niedomarzły. Koniowi pysk ścisnąłem trzęsłą, aby rzeniem nie zdradzał dokładnie naszego kierunku...

Gdyż o bytności naszej kozacy już wiedzieli.

Dym piekielny i para zapełniła wszystko.

– Nie gaśmy ognia – błagała. – To nic, że nas ujrzą. I zresztą mróz taki – radośniej umierać jest przy ogniu. –

Zgodziłem się i zostawiłem mały ogień, który chaty nie rozświecał, ale zostawiał nieco ciepła.

Objęła mnie.

– Ty musisz dalej żyć – weź konia i ten kozuch mój – i moje buty futrzane – – – ratuj się. Ja celnie strzelam i kozaków tu zatrzymam, może parę godzin. Nie domyślą się, żeby samego ciebie gonić.

– Jeśli nawet kozacy nie podejrzewaliby mię o taką podłość, jakże podejrzewasz mię ty?

– Zaiste, wyznam, gorszą mam walkę tu wobec waćpana niż tam z mrozem i kozakami. Wybieram niebezpieczeństwo mniejsze, chcąc zostać sama! – tak próbowała żartem mię nakłonić do wyjścia, ale ja lufę sztucera wychyliwszy przez szparę, z której wydobyłem pakuły i mech – brałem ich na cel. Ona czyniła podobnie.

W mroku słyszałem już tylko bicie jej serca i swego – mocniejsze, z pewnością – nie ze strachu przed kozakami.

Jeszcze pragnąłem jej.

Wśród mroku daleko widzieliśmy watahę konnych, pochodnie trzymali nisko, aby jeźdźców nie oświećlać.

Wtem, zoczywszy ślady nasze wyraźne na polanie i mogąc już tu wobec szerokości miejsca i wywianego przez zawieruchę śniegu walić galopem, świsnęli konie nahajami.

Nie dawałem strzału, bo ona ścisnęła mnie za rękę, mówiąc:

– Wmiesza się za nas niewidzialny sojusznik, duchy? jak to nazwać... To będzie piorunem z tej olbrzymiej chmury natchnienia i piorun zemści nas... –

Nie wierzyłem jednak w pomoc duchów, mając wspomnienie przegranej bitwy – i jeszcze staranniej zacząłem mierzyć ze sztuceru. Za chwilę sypnę im dwanaście strzałów, każdy będzie nieubłagane pewny...

Nagle rozległ się przerażający trzask, huk, potem wycie –

wataha zapadła się w jezioro –

gdyż to, co braliśmy za polanę, jeziorem było zamarzłym.

My, idąc jedno za drugim, przeszliśmy. Oni w kilkunastu na rozpędzonych koniach zapadli w odmęt.

Wychlusnęła czarna woda i zaciemniła krąg jasny śniegu. W otworze wiadać już tylko było głowy ludzkie, końskie łby, ręce czepiały się na krach...

Wyrwałem z ogniska bierwiono gorejące i wraz z moją miłą wzięliśmy dwie długie tyki.